

# KRYTYKA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM  
POLITYCZNO-SPOŁECZNYM  
I LITERACKO-ARTYSTYCZNYM

ROCZNIK **IV**

KRAKÓW 1899



̄-490

# T R E Ś Ć .

## ARTYKUŁY POLITYCZNE:

Nasza polityka. Ign. Daszyński . . . . .	1
O sejmie i kraju. Poseł F. Winkowski . . . . .	49
113	
Kilka słów o walce narodowościowej w Austrii. Żegota . . . . .	181
Babie lato. Żegota . . . . .	249
§ 14. Żegota . . . . .	297
Znachorzy. Żegota . . . . .	417
Skazaniec polityczny. Fr. Czerski . . . . .	6

## ARTYKUŁY SPOŁECZNO-NAUKOWE:

Internezzo. Wł. Kotwicz . . . . .	14
Stręczenie pracy. K. Nacher . . . . .	57
Rewizye zasad socjalizmu. Res . . . . .	65, 141
Proletaryzacja Galicji. W. Feldman . . . . .	76, 129
Ruch robotniczy w zagłębiu dąbro- wieckim. St. Os. . . . .	122
Ludwik Büchner. Dr M. Massonius . . . . .	151
Niepodległość Polski w programie socjalistycznym. M. Luśnia . . . . .	187
Nędza Rosyi w cyfrach. Hannibal . . . . .	196, 260
Szkice psychologiczne. L. Winiarski . . . . .	205
267.	
Prawa wyjątkowe. Dr Z. Mirski . . . . .	253
Ewolucya polityczna Czech współ- czesnych L. Wasilewski . . . . .	304
Wielki przemysł w Królestwie Pol- skim. Res . . . . .	316
Stosunki polityczno-społeczne w za- borze pruskim. St. Os. . . . .	422
List w sprawie Dreyfusa. A. France . . . . .	361
Ubezpieczenia ochronne robotników w Austrii. K. Nacher . . . . .	365

Czynniki polityczne pod zaborem rosyjskim. St.Os..arz . . .	372
Przyczynki do charakterystyki społeczeństwa rosyjskiego. J.Trąbczyński . . . . .	436
Świeże prądy. S.Karski . . . . .	473
Ważniejsze braki w ustawie o ka- sach dla chorych. K.Nacher .	482

#### ARTYKUŁY LITERACKIE:

Młoda Polska. J.Sten 21,85,163,276, 334,386,451, 490.	
Z literatury obcej. M.Posner-Gar- feinowa . . . . .	28
Kilka słów o modernizmie. M.Po- sner-Garfeinowa . . . . .	91, 225
Młoda Rosya. A.Neuwert-Nowaczyń- ski . . . . .	326
Anatol France. Malwina Posner- Garfeinowa . . . . .	393

#### POEZYE i NOWELLE:

Rabi Pelalój-Ben-Pedas. J.Żuka- wski (wiersz) . . . . .	19
Codzienny gość. (wiersz) F.Ei- senberg . . . . .	27
Jutrznia (wiersz) A.Niemojewski	90
Osiół i bajkopis (bajka) W.Wolski	109
Sonet. Z.Dębicki . . . . .	151
Z cyklu "Karma" (wiersz). Filip Eisenberg . . . . .	161
Niedowiarek. (Nowela) W.Orkan .	174
Fragment (wiersz) F.Nowicki . .	212
Spóźniony śpiewak (wiersz) K.Te- tmajer . . . . .	215
Z poematu "Na szczycie" (wiersz) K.Tetmajer . . . . .	215
Przy lutni (wiersz).A.Niemojewski	217
Lelewel (wyjątki z dramatu) St. Wyspiański . . . . .	218

Rabi Jeroboam-Ben-Lapidoth. (wiersz)	
J. Żuławski . . . . .	220
W nocy. Świt. (sonety) W.Orkan . . . . .	221
Sonety. Z.Dębicki . . . . .	222
Na sen wieczny. (wiersz) F.Eisenburg	223
Odi. (wiersz) J.Jedlicz . . . . .	223
Sen Haskiela (nowella) J.Sten. . . . .	240
Wiosenny wieczór. (nowella) W.Dalecka	287
· Prymicyant (nowella) J.Jedlicz . . . . .	344
O zmierzchu. (nowella) W.Reymont . . . . .	407
Sama samiuteńka (nowella, przekł.z rus)	
Wasył Stefanyk . . . . .	413
Zdekłe. (gawęda tatrzańska) A.Stopka	416
Wysłaniec (z cyklu "Legendy", nowela)	
A.Niemojewski . . . . .	465
Bajka nie bajka (gawęda) A, Stopka . . . . .	471
Sanguina (nowella) Theresita . . . . .	504
W sieci (nowela) J.Jedlicz . . . . .	513

### LUŻNE KARTKI:

(Z krakowskiego bruku. Sotwaros. - Lwi pazur (List z Warszawy). ANiemojewski. - List ze Lwowa. X.- Krachy i szwindle. Z. - Przegląd teatralny) . . . . .	33
(Z karowskiego bruku. Sotwaros. - List ze Lwowa. X. - Emigracya. Z. - przegląd teatralny) . . . . .	97
(Z krakowskiego bruku. Sotwaros. - Miraże dla głodnych i łaknących. Z) . . . . .	167
(Z krakowskiego bruku. U. - Narodowi katolicy. Z. 8 Przegląd teatralny. - Wspomnienie pośmiertne) . . . . .	233
(Oryginalny jubileusz. - Przegląd teatralny Odezwa Komitetu sprowadzenia zwłok Słowackiego) . . . . .	279
(Ogrób poety. Z. - List z Warszawy. A.N.) . . . . .	339

(Okruchy. Far. - List z Warszawy A.N. - Z Goreów. W.O. - Przegląd teatralny)	400
(Za kulisami polityki. Z. - Antagonizmy M.Z. - List ze Lwowa. X. - Przegląd teatralny)	456
(Po wielkim procesie. X. - Dyktatura policyjna. - Komitet młodzieży)	495
Sprawozdania	47,285.



## NASZA POLITYKA.

Przeminął wiek z górą, jak jesteśmy w niewoli narodowej, przykuci do trzech różnych tworów państwowych, wchłaniani przez trzy potęgi wielkich państw terytoryalnych nowoczesnych. Wewnątrz przeorał nas niwelujący i rewolucyjny kapitalizm, a w zewnętrznej polityce polskiej wskazano nam już nieraz, co znaczy nowoczesny militarizm wobec narodowych powstań, podejmowanych celem uzyskania niepodległości. Szarpaliśmy się kilkakrotnie w tych silnych jak piekło więzach, krwawiliśmy członki tłukąc się o bezlitosne kamienne mury naszego więzienia i doczekaliśmy się tego, że całe odłamy narodu straciły wiarę i siły, już nie do walki, ale do życia, do cichego życia niewolnika, który nie pogodził się z kajdanami.

Politykę powstań chciano zamienić na politykę czołgania się... I zapanowały w Galicyi zasady stańczyków, wyłoniła się w Poznańskim partya dworska, a w Rossyi minowały grunt ugodowe krety, nie mogąc się doczekać, kiedy oschną i zatrą się ślady łez i krwi. Znalazła się i encyklika rzymska, nawołująca do lojalizmu; zmieszano *sacra profanis*: ateusze narodowi w rodzaju p. Koźmiana, złączyli się z kuryą rzymską, aby tylko zasiać w narodzie carsławie wszystkich odcieni; uczono nas czołgać się i przedstawiano wymownie korzyści tego sposobu poruszania się dla narodu, który przecież leży na ziemi...

Nie chcemy w tę robotę trucicielską zapuszczać głębiej sondy, aby odróżnić, ile w niej było „dobrej woli“, a ile nikczemności, zwykłej nikczemności charakterów u naszych „wielkich“ polityków; wystarczy stwierdzenie publiczne, że klasy wyższe t. j. szlachta i bogatsze mieszczaństwo polskie, zaczynają coraz to konkretniej wytwarzać w sobie kultury serwilizmu w sprawach dotyczących wolności i niepodległości narodu polskiego.

I jeżeli te hodowle niewolnicze nie zżarły ducha narodu, tam

gdzie o jego całość chodziło, nie winni temu Kościelscy, Koźmianowie, Radziwiłły, Goliany i Piltze. Zrobili oni, co w ich siłach leżało, aby utrudnić i tak już trudną syntezę polityki narodu na trzy części rozdzielonego, pracowali w pocie czoła, aby z upartych Polaków zrobić bodaj katolików po polsku mówiących, o tyle oczywiście, o ile i katolicyzm i mówienie po polsku będzie nam łaskawie dozwolonem. Ileż to zużyto mrówczych zaiste zabiegów, zarówno jak przebłysków serwilistycznego geniusza cynizmu, ile nadenuncyowano „zapaleńców“, ile pożarów małych ugaszono, aby w końcu doczekać się — b a n k r u c t w a tej polityki! Kto tę politykę do bankructwa doprowadził? Chłopi i robotnicy polscy. Dopóki oni milczeli, w apatyi i nieczułości pogrążeni, dopóty ze stańczykami wszystkich zaborów ucierała się tylko pstrokata rzesza patryotyczno-drobnomieszczańska, patryoci i „demokraci narodowi“ bezsilni, bici nielitościwie przez stańczyków i prowadzeni we wszystkich ważniejszych wypadkach za nos za pomocą „popularnych“ książąt i hrabiów. Kwitła arystokratyczno-kapitalistyczna polityka zewnętrzna w Polsce; jako reprezentanci narodu występowali zwartym szeregiem magnaci, bogaci bankierzy i kapitaliści; pod ich komendę iść musiał biedny tromtadrata, któremu imponowały dyplomatyczne układy reprezentantów z „gabinetami“ i t. p. tajemniczymi potęgami.

Ale dość było, aby chłop i robotnik polski ruszył się, aby swoje zbolale członki olbrzymia przeciągnął, aby oczy ze snu przetaił, a wszystkie finezye polityki niewolniczej zbladły i straciły swą tajemniczą wartość. Ani chłop, ani robotnik polski nie chce pod względem narodowym umierać i spokojnie dawać się w trumnę układać. Lud polski ani myśli o pozbyciu się swego prawa przyrodzonego, je swój czarny chleb niewoli, bo innego nie ma, ale wiary w swoje dobre prawo nie traci. I mogą go już dzisiaj odbieżeć panowie i fabrykanci, mogą w gabinetach, Bóg wie jakich, zepewniać o trójlojalności, słowa ich tyle będą warte, ile miedź brząkająca, albo cymbał brząmiący...

Lud chce żyć, tak dobrze, lub tak źle, jak inne ludy wolne na świecie. Podoba się to komu lub nie, a my żyjemy, żyć chcemy, żyć będziemy. Obalono nas, przygnięciono nam kolanem piersi; będziemy pracowali nad wydobyciem się, podniesieniem z ziemi, ale zgodzić się na uczczenie gniotącego nas kolana, ani nam przez myśl nigdy nie przeszło. Tylko znakomicie tresowani słudzy, zakładają sobie sami stryczki na szyje; lud tej tresury nie zna i za późno, aby jej się poddał. To nie jest żadna wyrozumowana po-



lityka, to sama siła życia ludowego, wytwarzająca dalsze silne pragnienia życia i wiare, która przecież bodaj takiego dokona kiedyś cudu, jak obalenie militaryzmu i kapitalistycznej etyki zaborczego państwa terytoryalnego. Widziała już historia ludów cuda większe.

I komuż to rezygnować, komu dobrowolnie do trumny się kłaść? Wszak w naszych oczach, jak jerychońskie róże odżywają oba polskie Ślązki: Górny pruski i cieszyński. W naszych oczach coraz to bujniej zakwita ruch opozycyjny w Galicyi. A Warszawa?

Wszak to tak niedawno, kiedy z serc milczącego, ogromnego tłumu Polaków, zgromadzonych u stóp pomnika Mickiewicza, buchnęła ogromna fala mocy narodowej, powódź hardej, nad śmierć silniejszej miłości narodu i jego skarbów. To straszne, to wzniosłe, to wielkie milczenie zabiło naraz wszystkich Piltzów, starło ich na nicość, zmiotło z powierzchni...

I któż w Polsce byłby tak tępego serca i umysłu, i mniemał, że to był tylko wybuch czci dla poezyi i poety; toż to był lud polski, masa polska w pełni sił swoich, dumna i nieprzejednana, mająca swe prawa wobec świata, zarówno jak wobec rządu i nahaiki, prawa nieprzedawniające się, prawa z życiem samem dopiero gasnące. Żaden mówca świata nie znalazłby tak potężnego wyrazu uczuć narodowych, jak ten milczący, olbrzymi tłum polski w Warszawie w wigilię Bożego Narodzenia; czemuż wobec tego wszelka wymowa ugodowców?...

A któż zdołałby oprzeć się setkom milionów funduszu kolonizacyjnego, całej zajadłości Hakaty szowinistycznej, gdyby nie chłop, nie robotnik polski? Wszak na Górnym, ani na austryackim Ślązku polskiej szlachty nie ma, wszystkie miasta u góry zupełnie i gruntownie zgermanizowane lub zczechizowane; na Górnym Ślązku nawet katoliccy księża germanizują zajadle, a wtórują im ich koledzy częscy w Cieszyńskiem! Wszak tam podległość narodowa pół tysiąca lat trwała, a przecież ani chłop, ani robotnik polski nie rezygnuje ze swoich praw narodowych i zaczyna o nie się dobijać coraz to energiczniej. Byli już oni „katolikami po polsku mówiącymi“, albo jak kto chce: „Prusakami o polskiej mowie“, a przecież porzucili te wygody, zalecane nam tak wymownie przez naszych ugodowców i stali się Polakami, takimi, ot! sobie, zwyczajnymi Polakami, mającymi w oczach swoich takie same dobre prawa, jak Anglicy lub Francuzi.

To wszystko są „znaki i dziwy“ niezrozumiałe dla naszych dotychczasowych wysoko urodzonych kierowników i przedstawicieli, którzy łaskawie nami dotychczas rządzili. Kto nie ma wiary w siłę

narodu, kto nie pije tej wody życia, ten żywych zrozumieć nie potrafi. Tym też ludziom małej wiary życzymy szczęśliwej śmierci, co wobec ich wielkich grzechów w narodzie, jest życzeniem co najmniej pobłażliwym.

Bankructwo najnowszej pesymistycznej „zagranicznej“ polityki w Polsce, nie oznacza jednak powrotu do dawnego płytkiego optymizmu, strugającego z kijów lance i zbierającego stare strzelby dla uzbrojenia przyszłych szeregów powstańczych. Lada kukułka nie wywabi nas do lasu...

Papierowe „złote Hramoty“, „bratanie się stanów“ przy obozowem ognisku powstańczem i t. p. piękne rzeczy z przed lat choćby trzydziestu, to były dopiero najskromniejsze początki wobec obudzonego dzisiaj, do świadomości swych praw idącego ludu polskiego.

Trzeba przebudować całe dawne światopoglądy, aby zrozumieć istotę nowoczesnego życia i dążeń ludu polskiego. Skupia się on w sobie, rozwija i kształci na warunkach, ach — jakże zmienionych! Dokoła nas coraz to mniej ostoji dawnych patryarchalnych stosunków; kilkadziesiąt lat rządów systemu kapitalistycznego, a cóż to już widzimy? Chłop stał się proletaryuszem; mieszczanin, rękodzielnik cechowy bankrutuje szalenie szybko i spada również w otchłań proletaryatu, trzymając kurczowo w swych rękach berła i sztandary cechowe, szlachcic przechodzi kryzys ekonomiczny, na który wcale się nie przygotował, a z dawnego magnata oligarchy robi się coraz to wyraźniej wielki kapitalista z wszystkimi jego wadami i talentami.

Już temu nawet nikt przeczyć nie usiłuje w Polsce, z wyjątkiem mamutów, którzy nigdy niczego się nie nauczą.

Pomieszały się role w społeczeństwie, pryska czar dawnych pojęć i wierzeń, jak kategoryczny rozkaz powstaje wola i potrzeby mas ludowych, nie dających się już z widowni usunąć i burzących wszystkie obliczenia misterne szlacheckiej polityki.

Pasowanie się to potężne o chleb, o prawo, o światło, o życie w narodzie wzmagać się będzie z dniem każdym; z ciemnej głębi społecznej, z pańszczyźnianego niegdyś nawozu, na którym krzewiła się kultura szlachecka, wylaniać się poczyna świadomość klasowa ludu polskiego; jak zalew Nilu mętny i groźny, niesie ona na przyszłość nadzieję bogatych plonów. I witać nam tę falę radośnie i na wzgórzach becunki smolne zapalać, bo oto rzeka cudowna już ruszyła i kraj użyźni!...

Cóż zaszczytniejszego, niż być stróżami życia i szczęście i chleb

dającej powodzi! A choćby niejednemu z nas i zginąć w tych falach przyszło, cóż to znaczy? Dawniej ginęliśmy taksamo co dnia w ciszy i męczarniach bezczynności i zwątpienia, bez pożytku dla nikogo.

A dzisiaj, bogdajbyśmy wołaniem naszym śpiących zbudzili, bogdajbyśmy zapory dawne usunęli, do obiecanego rajy nie wszedłszy wcale, będziem przecież z żywymi naprzód iść, żyć w świecie rzeczywistości, a nie w haszyszowych marzeniach starych i nowych mistyków.

Ucieczkę bowiem z życia, dla uratowania się w ekstazach klasztornych, czy modernistycznych, uważamy za słabość, a nie za siłę; trzeba być moralnym rozbitkiem, aby się na tych nagich, zimnych skałach czuć dobrze. Publicystyka, literatura i sztuki piękne nie mogą uciec po za życie narodu, a skoro lud staje się narodem, nie mogą ludu porzucać i nie porzucą go w Polsce tak dobrze, jak gdzieindziej.

Mówimy to z całą świadomością, że długo jeszcze głos nasz wzbudzać będzie w sferze t. zw. „inteligencji“ słabe tylko echa; wiemy, że w narodzie naszym ręka zaborców straszny „dobór“ w kilku pokoleniach czyniła, niszcząc i tłumiąc wszystko, co było tęższe i szlachetniejsze, a zostawiając przy życiu i zdrowiu słabych lub niewidzących... Wiemy, że we wszystkich dzielnicach nagradzano tchórzostwo i bezmyślność polityczną i do dziś dnia nagradzają. Rozumiemy, że tak jak dawniej w pokorze chrześcijańskiej próbowano zatopić nasze dobre prawa, tak potem wołano nam głośno, abyśmy się „pracą organiczną“ z bogacali, niepomni kajdan pozłoconych... Jedno i drugie hasło straciło na swej mocy; rezygnacya z wolności nie może się stać programem żadnego na świecie narodu.

Ale silni wiarą, nie zasiądziem przecież na swoich miejscach czekając przyjscia zbawienia; oceniamy znaczenie i doniosłość pierwiastku świadomości, woli, inicjatywy. I tradycją nauczani nie przestaniemy pobudzać „inteligencji“ do pracy z tym budzącym się ludem. Nie nad tym ludem, nie w roli dobrodziejów, ale poprostu jako wykwalifikowani robotnicy. Równać drogi, upraszczać i czynić niebolesnymi ciężkie procesy rozwoju społecznego, dawać masie ideę zgodną z wynikami nauk społecznych, dać jej pieśń, która nią zakolysze i naprzód poprowadzi, przenikać się bólem i szczęściem tej masy, aby objąć jej duszę, tworzyć formy i wzory, w którychby się kształtować harmonijnie mogła treść wszechstronnego życia narodu — toć przecież prometeuszowa praca, to trud godny półbogów!

Nie chcemy wcale ludzi „rozpolitykować“, aby z nich mieć

bałwanów szumiących na płytkich mieliznach, ale wyrugować chcemy ową dziką nieczułość na losy społeczne, nieczułość panoszącą się zwłaszcza w klasie średniej, mającej przecież już dość wiedzy faktycznej, aby mózgi zrozumieć ciężką dolę naszego społeczeństwa. Samoluby niech daj czasu zdrowi żyją, aby kiedyś o szmat głazu jako bańki prysnąć, ale niechaj nie śmiać w oczach naszych ogłaszać spokojnie swej nicości moralnej za rozum, czy rozsądek.

Nie mamy zresztą zbyt przesadnych obaw pod tym względem; lody i skorupy z takim trzaskiem pękać będą, że filister polski straci rychło na kontenansie...

A już, co gromów klerykalnych, lub tyrad szowinistycznych, to wcale się nie lękamy.

Choćby nas okrzyczano jako „przewrotowców“ lub brutalnych „radykałów“, nie przestaniemy w „Krytyce“ służyć opozycyjnemu ruchowi ludu polskiego z pod wszystkich trzech zaborów, nie spuścimy z oka żadnego ważniejszego epizodu tego ruchu i wytrwale szukać będziemy składników ogólnopolskiej syntezy, tego co nas zjednoczy i powróci nas sobie: dążenia do zdobycia wolnej niepodległej, z niewoli carskiej, zarówno jak z szponów kapitalizmu wyrwanej Polski.

*Ignacy Daszyński.*

## SKAZANIEC POLITYCZNY.

W marcu b. r. w trzech następujących po sobie procesach stracił ks. Stojałowski wszystko, co dla polityka i człowieka jest najdroższem: opinię uczciwego człowieka, opinię uczciwego polityka. Dwadzieścia pięć lat pracował, jak sam lubi opowiadać, na „niwie ludowej“; po dwudziestu pięciu latach owej pracy nie pozostało mu nic, absolutnie nic z tego, czem się przez dwadzieścia pięć lat chwalił. Kto widział w sali sądowej tego starca z miną niespokojną, chytrą, podejrzliwą; kto widział, jak się wił pod ciosami dowodów i argumentów przeciwników, jak z rozpaczą człowieka, czującego, że mu się usuwa grunt pod nogami, chwycił się najlichszych, najśmieszniejszych sposobów, aby się obronić od dotkliwych razów: — ten musiał dojść do przekonania, że ma przed sobą człowieka, który skończył swój zawód polityczny, człowieka na którym wykonano wyrok śmierci politycznej.

A ponieważ była to osobistość niepośledniej miary, osobistość, której imię jest ściśle związane z ruchem ludowym w Galicyi, należy się jej przeto kilka kartek refleksyj.

Był z początku wychowankiem Jezuitów. Od nich nauczył się sprytu, chytryści, bezwzględnych środków, którymi się w późniejszej swej robocie odznaczał. Opuściwszy zakon Jezuitów, był przepel-niony ich pojęciami klerykalno-konserwatywnemi. Jedyłą jego lekturą był „Czas“. Studyów społecznych i ekonomicznych nie miał żadnych, świata i życia zaznał tyle, ile go się może przedostać przez mury klasztorne. I z tem wyszedł na świat: z jedną sutanną, z pewną dozą inteligencyi i ze znajomością pisma świętego. Więcej nie miał nic ze sobą. A życie społeczne wrzące, huczące, krzykliwe objęło go tysiącznemi sploty... Z młodego, niedoświadczonego kapłana powstał działacz polityczny, który rozwijał się równolegle z tem, jak się rozwijały stosunki polityczne w naszym kraju.

Z razu, jak sam opowiada, szedł utartymi śladami „Czasu“; potem, gdy zaczął rozumieć, że nędza w kraju jest zbyt wielką, aby ją można było ukoić pociechą przyszłego życia, począł wydawać pisemka dla chłopów, w tonie antysemito-klerykalnym. Sądził wówczas, że szlachta zgodzi się na ustępstwo, że wystarczy tylko z nią „na rozum“ pogadać, aby ulżyła chłopom. Nadzieje te spełzły na niczem. Ani ks. Stojałowski nie odznaczał się takim hartem duszy i charakteru już wtedy, w zaczątkach swojej działalności politycznej; ani szlachta galicyjska nie odznaczała się takim sprytem, aby go — kupić. I to było decydującem dla przyszłego kierunku pracy Stojałowskiego.

Wiele kart działalności Stojałowskiego z lat osiemdziesiątych jest do dziś dnia niewyjaśnionych.

Wypadki i zajścia parły go coraz bardziej na lewo. Poglądy społeczno-polityczne, które inni nabywają na podstawie teoretycznych studyów, musiał zdobywać powolną drogą praktyki. Ten brak te-oryi a nadmiar praktyki daje się widzieć w całej jego działalności. To jego słaba i silna strona. Są ludzie, których silny, niezłomny c h a r a k t e r kwalifikuje na przywódców politycznych; Stojałowski do nich nie należy. Są ludzie, którzy wadę tę pokrywają głębszą wiedzą i wyrobionemi zasadami: i do tych nie należy Stojałowski. Brak charakteru i brak zasad w połączeniu ze sprytem, znajomością ludzi i stosunków, z temperamentem, z wytrzymałością, jeżeli nie wielkiego człowieka, to przynajmniej małego, który dzięki swej ma-łości wszystko przetrzyma: to ksiądz Stanisław Stojałowski.

Taki człowiek był wprost stworzony na przywódcę ruchu

drobno-mieszczańskiego lub chłopskiego, na przywódcę owych klas, które tak charakterystyczną rolę odgrywają w dzisiejszym życiu społeczno-politycznym, które mimo, a raczej z powodu swego ekonomicznego upadku wybijają się rozpaczliwie na widownię polityczną i wołają w niebogłose o ratunek. Ksiądz Stojałowski nie miał zapewne w polach swojej sutanny zbyt wielu środków specyficznych na ratunek chłopu galicyjskiego, a jeżeli je miał to prędko się przekonał, że wykonać ich niepodobna; ale że tkwiły w nim, w dziwaczny sposób pomieszane, wszystkie te sprzeczności, które cechują drobnego mieszczanina i chłopu, więc został przywódcą chłopskim. Że zaś nie miał nic chłopu do powiedzenia, więc przyjął za swoje to, co mu chłopu powiedzieli. Zamiast podnieść chłopu do poziomu jakiegoś programu, sięgającego o parę staj dalej niż dorywcza, chwilowa robota z dnia na dzień — zniżył się, nie mając żadnego programu, do poziomu owego chłopu. Chwilowo odniósł tą taktyką dość znaczny sukces; sprowadził jednak ruch chłopski na niewłaściwe tory. Za jego przykładem poszły i inne partie chłopskie i wkrótce wytworzył się ciekawy „kult chłopu“, przypisujący chłopu jakąś instynktową znajomość ekonomii społecznej i wszystkiego, co konieczne do podniesienia rolnictwa. Mówiono, że należy tylko żądania chłopów samych przesiewać przez „sito postępowe“, a narzucać im jakieś programy nie uchodzi; że chłop sam wie najlepiej, co go boli itd. Pisma ludowe przepelnione były listami chłopskimi, a czynność redakcyjna ograniczała się co najwyżej na notowaniu wypadków z wojny chińsko-japońskiej. Brak programu przyjęto za program. Skutki tej metody były fatalne. Żadna z naszych partyj „chłopskich“ nie ma dotychczas programu chłopskiego. Zamiast programu wysunęli się na pierwszy plan ludzie. I powstał kult osób.

Nie Stojałowski stworzył ruch chłopski, lecz przeciwnie ruch chłopski jego. Przystosował się doń zupełnie, odbił się w nim, jak w zwierciadle, a przez złudzenie optyczne, któremu ulegli i inni, mógł powiedzieć z dumą: ruch ludowy ja stworzyłem!

Złudzeniu temu uległ również wysoki rząd i również wysoka szlachta. Uznano Stojałowskiego za niebezpiecznego i poczęto prześladować. Tu zaczyna się rozdział w historii Galicyi, który możnaby zatytułować: „Jak się robi męczenników i wielkich ludzi“, albo: „Kupuj zaraz, bo potem przepłacisz“, albo: „Lepiej dać odrazu probostwo w Kulikowie, niż potem wyklinać“... Stojałowski był sobie zwykłym, sprytnym agitatorom; prześladowania zrobiły go bożyszczem ludu. Zaczęto mu wytaczać jeden proces za drugim, przenoszono z jednego aresztu do drugiego. Rok 1895, rok wyborów sejmowych,



przesiedział prawie bez przerwy w więzieniu cieszyńskim. Wkrótce rozpoczęły się i konflikty z biskupami, które na razie udało mu się zażegnać. Wszystkie te prześladowania parły go coraz bardziej na lewo, napęłniały szaloną, namiętną nienawiścią do Badeniego i czyściły wśród mas włościańskich niezwykle popularnym. Pytano nieraz, dlaczego Stojalowski jest tak popularnym u chłopów. Ależ jak nie miał być popularnym ten, który przez tyle lat sam jeden zajmował się chłopami, przestawał z nimi w przyjazny sposób, rozdawał pełnemi garściami „agitacyjne całusy“, błogosławieństwa, medaliony, zajmował się biedą chłopską, gromił panów i żydów, objeżdżał niezmordowanie wszystkie miejscowości zachodniej i wschodniej Galicyi? Lud nasz jest wdzięczny i przywiązuje się łatwo do osób, które mu są życzliwe; a jeżeli te osoby opromienia jeszcze aureola męczeństwa, nic dziwnego, że każdy chłop skoczyłby za nie w ogień. Ruch opozycyjny w Galicyi przechodził wówczas ważne przemiany. Obok Stojalowskiego pojawili się inni ludzie, którzy poczęli pracować wśród ludu wiejskiego. Wysłouch i Stapiński ze Lwowa poczęli działać w kierunku umiarkowanym i patryotycznym. W czasie wyborów sejmowych z r. 1895 szli wszystko razem i zdobyto w ten sposób kilkanaście mandatów chłopskich do sejmu. Lecz wkrótce potem zaczęła ta jednolita masa rysować się i, jeżeli można wogóle użyć tego wyrażenia, różniczkować. Przedewszystkiem zaszły spory osobiste. Stojalowski był agitatorom, nie organizatorem. Wszędzie składał swe agitacyjne kukulcze jaja, zostawiając je potem na łasce Opatrzności. Kółka rolnicze, Towarzystwa ochrony ziemi, Związek chłopski, Dom robotniczy w Białej itd. — wszystko to wyszło z jego inicjatywy, a zawładnęli tem ludzie inni. Zresztą organizacja chłopów, rozrzuconych szeroko po kraju, pogrążonych w zbyt wielkiej nędzy, aby mogli zrozumieć wartość powolnej organizacyi i oczekiwać nierychłych jej skutków, jest o wiele trudniejszą, niż organizacja proletaryatu miejskiego. Chłop jest urodzonym indywidualistą, zdolnym do chwilowych porywów, ruchawek politycznych, wyborów, ale nie do organizacyi. Każdy ruch ma takich przywódców, na jakich zasłużył. Że Stojalowski jest indywidualistą, nie znoszącym drugiego obok siebie, jest powszechnie znaną rzeczą. Znamiennem jest, że lubi pasyami czytywać pisemka anarchistyczne, które prenumerował, będąc w Budapeszcie. Raz w rozmowie oświadczył się na przykład przeciw przymusowi szkolnemu dlatego, że „ukróca wolność osobistą“.

Stronnictw politycznych, zorganizowanych, skryształizowanych, jak gdzieindziej w Europie, niema u nas w kraju. Z wyjątkiem kle-

rykałów, którzy mają odwieczną, i socjalnych demokratów, którzy mają nowoczesną organizację, nie posiadają nasze t. zw. stronnictwa ludowe żadnych znamion nowoczesnego stronnictwa. Kto przyjdzie do chłopów i uderzy w ton, dla nich zrozumiały, ten znajdzie oddźwięk. Na różnicach programowych stronnictw, które w dodatku owego programu nie mają, nie rozumie się nasz chłop jeszcze. To też gdy po wyborach sejmowych rozpoczęła się między Stojałowskim a ludowcami „walka o lud“, wyszedł zwycięzcą ks. Stojałowski. Na szeregu wieców starły się obie strony. Stojałowski użył za argument i swoje prześladowania, i ewangelię, i chrześcijaństwo i zwyciężył. Pewna zamaszystość i radykalniejszy ton sprawiły również swoje. Dość, że stał się niepodzielnym panem całej prawie zachodniej Galicyi. Dla szlachty i rządu był przeciwnikiem o wiele niebezpieczniejszym, niż inni. Chytry, przebiegły, ruchliwy ten człowiek był utrapieniem dla szlachty, biskupów i rządu. Jak umiał paraliżować ich ciosy, dowodzi najlepiej ten epizodzik: Gdy biskupi zakazali wiernym katolikom czytania pisemek chłopskich i socjalistycznych, wystarał się ks. Stojałowski szybko o błogosławieństwo — papieskie. Można sobie wyobrazić miny naszych biskupów, gdy zostali tak przelicytowani!

Zbliżały się wybory do parlamentu. Walka w kraju zapowiadała się gorąca. Socjalni demokraci mieli pierwszy raz rozwinąć akcję wyborczą. Partye chłopskie czyniły również przygotowania. Wówczas sfery rządzące chwyciły się ostatecznego środka. Rozpoczęły walkę religijną. Stojałowskiego obłożono wielką klątwą. Było jakby „grom z jasnego nieba“, który miał zetrzeć w proch garstkę malkontentów, buntujących lud. I zaczęła się długa wojna religijna, która pokazała, że za garstką malkontentów stoi cały lud polski. Stojałowski nie ugiął się. Jak drugi Luter apelował do źle poinformowanego, a lepiej informować się mającego papieża. Jak niegdyś ks. Stanisław Orzechowski herbu Oksza, zaczął myśleć i przebąkiwać o założeniu kościoła narodowego polskiego... Miało się wrażenie, że się żyje w czasach reformacji, w czasach sekt i walk religijnych... W prostym stosunku z prześladowaniami rosła też jego popularność. Socjalni demokraci ujeli się wówczas za pokrzywdzonym i użyczyli mu swej pomocy. I to pomocy tak wydatnej, że umożliwili mu ucieczkę i redagowanie pisemek. Wybory skończyły się sromotną klęską stańczyków i radykałów. Stojałowski stanął u szczytu swej potęgi; sam jeden sprostał całej nawale stańczykowskiej. W zapatrywaniach swych wykonał stanowczy zwrot na lewo. Zaczął nazywać się socjalistą, kolektywizm uznał za ideę,



nad którą warto się zastanawiać; przyjął za swój z małymi wyjątkami cały minimalny program socjalnej demokracji; w końcu nazwał się socjalnym demokratą i namyślał się, czy przystąpić do organizacji.

Gdy wtem nagle zaszło coś, co mu nie pozwoliło zostać socjalnym demokratą... Skrył się znowu za pismo święte, atakował ostro żydów, wychwalał antysemitów wiedeńskich. Wkrótce wykryły się przyczyny tej zmiany. Wielebny ks. Stojałowski wybierał się do Kanossy. Już w kilka tygodni po wyborach, gdy jeszcze nie przebrzmiały echa zaciekłych walk, już odbywali z polecenia jego Danielak i Szponder konferencye z Badenim. Szybko pozbyto się dotychczasowych sprzymierzeńców i jeździe do Kanossy nie stało nic na przeszkodzie. Z wielkiego człowieka, który miał zawieść lud polski do ziemi obiecanej, z Orzechowskiego, Lutra nie pozostało nic: został tylko stary krętacz, ksiądz Stanisław Stojałowski.

Nastąpiła więc nowa era: Stojałowski w roli sprzymierzeńca stańczyków. Lecz kiedy osiągnąwszy cel zmianą frontu: zniesienie klątwy i mandat — zaczynał znowu występować przeciw tym nowym sprzymierzeńcom, natenczas zemściły się grzechy przeszłości na agitatorze w sutannie. W szybkim tempie szedł cios za ciosem i druzgotał jego stan posiadania. *Dziennik polski* ogłosił sensacyjną wiadomość, że ks. Stojałowski miał stosunki z generałem żandarmeryi rosyjskiej Brokiem, że popełnił zdradę narodową; wybory w Sanockiem skończyły się zwycięstwem ludowców; występy parlamentarne nie powiodły się i okryły cały klub śmiesznością; na Ślązku i zachodnich kresach Galicyi posuwali się coraz bardziej socjalni demokraci; w łonie stronnictwa nastąpił rozłam przez wystąpienie Szpondra i Danielaka. Stojałowski został znowu sam, sam jeden, bez pomocników, sam ze swoimi chłopami i kilku lichymi ludźmi, którzy posiadali wszystkie jego złe strony, dobrych zaś ani jednej. A tymczasem opinia publiczna parła ze wszystkich stron do oczyszczenia się z zarzutu zdrady narodowej, zarzutu najstraszniejszego dla Polaka. Musiał więc, chcąc nie chcąc, wytoczyć proces wszystkim redakcyom, które mu zarzuciły stosunki z żandarmami i współpracownictwo w *Dzienniku warszawskim*. Gdy próby ugody i kruczki prawne nie pomogły, musiało przyjść do rozprawy.

Procesy, które się rozegrały przed kilku tygodniami we Lwowie, miały wszelkie znamiona procesów sensacyjnych. Cała opozycja galicyjska zebrała się w sali sądowej na akt stracenia politycznego. Ów zaś, który miał być straconym, siedział jako oskarżyciel: oskarżał

o oszczerstwo. Zresztą nie wyglądał wcale na oskarżyciela: siedział przygnębiony z twarzą poźółkłą, z wejrzeniem starego krętacza, który czuje się zewsząd osaczonym. W pierwszym procesie nadrabiał miną i udawał cynika — co mu zresztą bardzo łatwo przyszło. W drugim procesie spuścił z tonu; trzeci proces wywoływał już wprost przykre przygnębiające wrażenie; było to jakby dobijanie zwyciężonego gladyatora...

Pierwszy do walki stanął Ostaszewski-Barański, redaktor antysemitycznego *Dziennika Polskiego*. Dziwnem zrządzeniem losu stanął antysemita przeciw antysemicie i powoływał się na świadectwo „żydowskich usługników“, tj. socjalnych demokratów. W drugim procesie wystąpili na scenę Bolesław Wysłouch i Henryk Rewakowicz, redaktorowie *Przyjaciela Ludu* i *Kuryera Lwowskiego*; w trzecim Ernest Adam i Jan Popławski, redaktorowie *Przeglądu Wszechpolskiego*.

Przedewszystkiem udowodniono Stojalowskiemu współpracownictwo w *Dniewniku*. Dr. Ostaszewski-Barański przedłożył własnoręczny list Stojalowskiego do *Dniewnika* z propozycją pisywania korespondencyj. Do autorstwa listu przyznał się Stojalowski po wielu wykrętach. Dodał tylko, że korespondencyje te pisywał po polsku, a za tłumaczenia „nie może przecież odpowiadać“. Wykręt oczywiście bardzo liche, jeżeli się zważy, że korespondencyje te były istotnie nikczemne, a autor ich nie uznał ani razu za potrzebne zaprotestować przeciw ich rzekomemu fałszowaniu. Pisywanie do *Dniewnika*, organu żandarmów rosyjskich, już przez się samo jest nikczemnem. Ten jeden fakt może wystarczyć do potępienia Stojalowskiego. Dowód zaś udał się oskarżonym w zupełności.

Następnie przeprowadzili oskarżeni dowód prawdopodobieństwa, że Stojalowski był nietylko panslawistą najreakcyjniejszego autoramentu, nietylko moskalofilem najlichszego kroju, lecz że otarł się nawet o dziedzinę tej sfery, która się nazywa zdradą narodową, zdradą stanu. I istotnie, jeżeli się przez długie lata uprawia w *Wieńcu* i *Pszczółce* propagandę moskalofilską, mającą na celu wmówić w chłopów, że w Rosyi jest o wiele lepiej, że w Rosyi jest istny raj, że w Rosyi niema ucisku ani religijnego, ani narodowego, że to jest wymysłem prasy demokratycznej; jeżeli się fałszuje, przekręca, przemilcza fakta, jak Kroże, jak gwałty przeciw Unitom, jak pomnik Murawiewa, jak aresztowania polityczne, a równocześnie wysławia się pod niebiosą cara Mikołaja, prawosławie i wszystko, co tchnie knutem; nie, doprawdy, to już nie czyni ugodowca, to nie czyni moskalofila, ale zdrajcy narodowego, który się sprze-

dał, mniejsza o to, czy materyalnie, czy moralnie. A dalej, te imponowalności dowodowe, te drobne małe pociski, którymi go wprost zasypiano na rozprawie: brody liturgiczne, zapewnienia, że następny list napisze z Warszawy, że ma gwarancję, iż w Rosyi będzie mu lepiej; dalej owe konferencje ze znanymi moskalofilami, list żony Broka o Stojałowskim, zeznanie szpiega Wiśniewskiego i cała masa innych poszlak... Stojałowski bronił się tem, że mu nie udowodniono bezpośrednich stosunków z Brokiem. Tak, naturalnie, kontraktu pisemnego, legalizowanego przez notaryusza, nie przedłożyli oskarżeni na rozprawie z tej prostej przyczyny, że takich rzeczy nie spisuje się kontraktem, legalizowanym przez notaryusza... Dalej bronił się Stojałowski tem, że cytaty z jego pisemek przeszły przecież cenzurę prokuratora austriackiego, więc nie dowodzą niczego. I to jest całkiem naturalnem, gdyż inaczej siedziałby ks. Stanisław Stojałowski na ławie oskarżonych i musiałby się bronić pod zarzutem zdrady stanu. Zapewniał wreszcie, że się informował różnemi drogami u samego Broka o te listy i otrzymał odpowiedź, że w tem wszystkim niema ani krzty prawdy...

Tak, bezpośredniego dowodu stosunków z Brokiem nie przedłożono na rozprawie i na tym braku dowodu ugruntuje ks. Stojałowski zapewne cały swój dalszy żywot polityczny. Ale przedłożono bezpośredni dowód nieuczciwości politycznej i osobistej, — i ten dowód udał się kompletnie. Ten carski demokrat i korespondent *Dniewnika* miał „zły zwyczaj“ zbyt częstego pisywania listów i zostawiania w ten sposób „graficznych śladów“ swej działalności. Listy te w ręku przeciwników były zabójczym argumentem. Czego zaś nie zrobiły one, tego dokonali świadkowie, z którymi dawniej razem pracował. Zeznania poła Daszyńskiego były wprost druzgoczące. Również zeznania Stapińskiego o tych czasach, w których szedł z ludowcami, były wszystkim, tylko nie pochlebstwem. Zeznań tych okazało się, że „Mojżesz galicyjski“ był człowiekiem bez zasad, bez charakteru, krętaczem, który z zimną krwią zmieniał przekonania jak rękawiczki, gdy chodziło o interes. Wyszła również w toku rozprawy na jaw owa płaska i nieuczciwa demagogia, którą się posługiwał w agitacji. W pisemkach swoich zalecał krzywopryśństwo, pomieszczał anonse, obiecujące radykalne usunięcie nagniotków i wyrzutów sumienia, działał na najgorsze instynkty chłopskie; przeciwników zwalczał „święconą kredą...”

Procesy lwowskie przypięczętowały karierę polityczną tego bądźco bądź niepospolitego człowieka, który mógł tyle dobrego zrobić dla ludu, a tak go zdemoralizował i zaprowadził na manowce.

Czy zechce dalej prowadzić swoją robotę? Czy zechce śmiertelne ciosy, które mu zadano, „uzdrowić“ jak Anteusz, który przykładając swe rany do matki-ziemi i powstawał pełen sił i zdrowia? Być może, że nie wszyscy chłopci rozumieją jeszcze, że pisywanie do *Dziennika warszawskiego* jest zdradą narodową i uchwałą mu kilka razy votum ufności, a w piśmiennikach swoich zamówi sobie Wielebny kilkanaście listów chłopskich, rzucających gromy na spółkę „sapiężyńsko-socjalistyczną“. Ale rolę polityczną już skończył. A że już i chłopci na nim się poznali, dowodzi ostatni wiec w Jarosławiu.

Tak tragicznie kończy człowiek, który jak nikt inny umiał poruszać masy, a który chytry i wykręty uważał za rozum polityczny, zasady zaś za niepotrzebny balast. Ginie od broni, którą wojował, a nie zostawia żadnego następcy, nikogo, komu by mógł oddać swój spadek polityczny. Ginie sam, sam jeden.

Będzie zaś zadaniem innych ludzi, innych partyj oczyścić ruch ludowy z gruzów demoralizacji i korupcji, którą szerzył ks. Stanisław Stojalowski i doprowadzić do końca dzieło odrodzenia Galicji.

*Franciszek Czerski.*



## INTERMEZZO.

Egipcjanie mieli zwyczaj wnosić trumnę na ucztę, aby nastroić poważnie umysły i dać uczuć nicość zabawy. My przeciwnie i w grobie nie przestajemy ucztować. Nazwano nas „tańczącym niewolnikiem“. Czy nazwa ta słuszną jest w zastosowaniu do całego narodu? Nie sądzę. Ale jest jedna grupa w społeczeństwie naszym, która dąży do tego, aby z całego życia uczynić tylko wesołą ucztę, a ze sztuki, wiedzy, filozofii i religii przyjemne do niej dodatki i ozdoby. Grupa ta wyrzeka w dodatku na stworzoną zresztą przez siebie filozofię, że pozbawia nadziei przedłużenia tej ucztę i po za grobem.

Życie nie jest wesołą ucztą, lecz ciężką pracą. Myśmy wybudowali sobie jakieś kryształowe pałace na szczytach cywilizacji; przyglądamy się przez ich szyby niebu i gwiazdom, rozległym widnokreślom i wspaniałym krajobrazom, przekonani w swoim naiwnym egoizmie, że te wszystkie piękności świata są dla nas stworzone;

a zdaje się nam jakoby najważniejszą kwestyą była ta, czy ozdoby te mają i nadal służyć za zabawkę naszego życia?

Tymczasem pod temi pięknymi wzgórzami, na których ścielą się wiszące ogrody naszej cywilizacji, gdzieś w ogromnych pieczarach, podobnych do dantejskiego piekła, przesuwają się jakieś żywe cienie, które ani światła, ani nieba, ani tych widnokręgów i pięknych obrazów natury nie widzą, ani piękniejszych jeszcze dzieł sztuki nie znają. Widzą tylko żółtą, zakopconą tarczę sztucznego słońca, dusze ich zaś przybrały kształty „lewarów, kół zębatach, stępli zębatach i innych maszyn“, bo myśl ich tylko temi maszynami zajęta; a każda „ma przed sobą dołek — długi i głęboki jak trumna, a na głowie nosi lampę, oświetlającą ten dołek i pracuje rękami z osłupiałym wzrokiem, jak u obłąkanych, a niektóre trzymają główki od szpilki i mają czoło wyżłobione zmarszczkami, jakby wszystkie lata nad zaokrągleniem główki tej przeżyli. A ile razy godzina śmierci bije w oddali, ten i ów spuszcza głowę i z jękiem w jamę swoją się stacza. A wszyscy ustami chłopięcia ślicznego jak anioł, ale przed czasem zwiędłego od pracy rąk, wołają: Zmiłujcie się nad nami; co w dzień zarobim, w nocy pożywamy, a nazajutrz o świcie znów robić musim. Nie mamy czasu modlić się do Boga, jeno robić, by zjeść co, a nie umrzeć i ledwo co zjadłszy — znów robić, by zjeść“. <sup>1)</sup>

Nam, „kwiatom cywilizacji“, zdaje się, że te blade, wychudłe, wygłodzone cienie będą wciąż tak kuć głazy i grzebać ziemię, wydobywając z jej wnętrza skarby, ażebyśmy my, „ozdoba Narodu“, mogli urządzać arkadyjskie pikniki w naszych wiszących ogrodach.

Taki jest naturalny i niezachwiany porządek świata...

Czy tak się nam zdaje? — Nie, nawet wcale o tem nie myślimy. Jesteśmy na to za lekkomyślni i za krótki wzrok mamy, abyśmy dostrzegali coś po za granicami naszego maleńkiego światka. Rzadko kto myśli o tem, co się mieści pod temi ogrodami wiszącymi, na czyich barkach spoczywają, czyją pracą się utrzymują. A kto pamięta o tem, ten nieraz zadrży na myśl: co się stanie gdy te wszystkie olbrzymy pracy zechcą zmienić postawę zgarbioną na prostą i potną ramionami o podwaliny naszych kruchych pałaców?

Najczęściej zaś nie wiemy i nie chcemy wiedzieć o tem, co pod nami się dzieje, tak jak nie chcemy widzieć maszyn, poruszających dekoracje w teatrach; psułoby to nam efekt sztuki, piękność i harmonię uczyt życiowej. Dobrowolnie ulegamy złudzeniu, jakoby

---

<sup>1)</sup> Krasiński. Niedokończony poemat.

te piękne kwiaty cywilizacji powstały i podtrzymywały się same przez się bez żadnego gruntu.

Oddzieliliśmy się od żyjącego życiem rzeczywistym, życiem pracy i ofiar, wielomilionowego narodu, warstwą pośredników, tych, których autor „Niedokończonego poematu“ przedstawia jako przygniatających nogami dusze swoje zamknięte w worach pieniężnych, aby brzękiem monety zagłuszyć jęki sumienia. Pełnią oni za nas wstrętą czynność wyciskania grosza z pracowitego ogółu, abyśmy mogli, podobni do owego cesarza rzymskiego, powiedzieć o pieniądzu: *non olet* — nie znać na nim śladów krwi i potu. Korzystamy z plonu, nie przykładając się bezpośrednio do wyzysku, nie obrażając naszych tkliwych serc i estetycznych zmysłów widokiem nędzy i cierpień, z których strzelają nasze kryształowe pałace, nasze wiszące ogrody, nasze arkadyjskie śpiewy...

Ale łącząc się z pośredniczącą warstwą, wyciągając do niej braterską dłoń, schlebiając jej przez zaliczenie jej do gromadki naszej „inteligencji“ czyli „towarzystwa“, zostajemy ich spółnikami mimowolnymi, najczęściej bezwiednymi. Czyniąc wytwory naszej cywilizacji, sztuki, wiedzy, zależnemi od wyzysku mas, ściągamy na nie odpowiedzialność za ten wyzysk, zanurzamy w błoto życia to, co powinno wznieść się wysoko po nad jego poziom.

Ażeby uspić nasze wrażliwe sumienia, wkładamy na siebie niekiedy obowiązki względem tych, których krzywdą żyjemy; staramy się położyć plastry na jątrzące się rany, zakryć je przed oczyma własnemi. Zabrawszy garścią, oddajemy szczyptami. Sypiemy okruchy chleba i wiedzy tym nieszczęśliwym, którzy nam wszystko to dali, a wmawiamy w siebie, że spełniliśmy nasze obowiązki obywatelskie. Teraz wolno nam wrócić do obfitych uczt i wesołych zabaw, bo już Łazarz dostał swoje okruchy ze stołu pańskiego.

Ale te nasze obowiązki społeczne, pełnione nie dla polepszenia położenia mas — bo i cóż może praca mrówki, unoszącej jedno ziarnko niedoli, kiedy potęgi olbrzymie sypią na jego miejsce miliony nowych — lecz pełnione dla własnego zadowolenia to tylko modlitwa faryzeusza, to sofizmat, którym obalamucamy siebie i innych. Nie zalepiać drobnemi plasterkami wielką niedolę ludu i społeczeństwa całego, ale stworzyć warunki dla jej usunięcia: — takie jest zadanie doby dzisiejszej. Nie potępiam tej drobnej pracy, tych małych wysiłków, które są i powinny być chlebem powszednim naszego życia, jeśli uważane są jako przygotowanie, jako wychowanie samego siebie przez wszczepienie przekonania, że coś się robić powinno, jako wymaganie godności osobistej wreszcie. Ale kto sądzi,



że pełniąc je, pełni zadanie społeczne i dziejowe, kto dając zupełną ubogim, pisząc lub szerząc książeczki ludowe, ucząc dzieci, wyrzekając się stosunków z wrogami ojczyzny, sądzi, że już wyczerpał powinności swoje, ten ma zbyt krótki wzrok, albo zbyt wielką zdolność ludzenia siebie.

Żadne wielkie dzieło nie obywa się bez ofiary ; a takie dzieło, jak zmartwychwstanie narodu naszego wymaga ofiar licznych i ciężkich. Ażebyśmy mogli oderwać się od tego trupa gnijącego, który zagarnął naród i kraj nasz swoim kościstym uściskiem i tłumiąc w nim życie myśli i czynu, chce krwią ojczyzny naszej odżywiać swoje strupieszale cielsko, powinniśmy się sami odrodzić, my, inteligencja kraju, my, w których ręku spoczywa ster łodzi postępu.

A przede wszystkim powinniśmy się uczuć tą inteligencją. Powinniśmy rozbudzić w sobie świadomość naszego powołania a pamiętając o tem, że na nas spoczywa odpowiedzialność za postępek całego narodu, rozerwać powinniśmy sztuczny i nienaturalny związek z najmniej na przyjaźń naszą zasługującymi klasami uprzywilejowanymi. Jako inteligencja kraju, stanąć powinniśmy ponad pojedyncze jego warstwy, bronić jedynie interesów postępu i sprawiedliwości.

Uczmy się dla samej wiedzy, dlatego, ażeby przy jej pomocy stanąć na wysokości powołania swego, nie po to, by stroić się w nią lub robić z niej stopień do kariery swojej. Pamiętajmy, że sztuka i wiedza nie są to zabawki dla uprzyjemnienia wczasów naszych, lecz potęgi dziejowe, wiodące ludzkość po drodze postępu i z tego stanowiska je oceniamy; że nie one dla nas, tylko my dla nich istniejemy i kapłanami ich być powinniśmy, i że dać do nich powinniśmy przystęp dla całego narodu i szeroko roztworzyć mu drzwi do świątyni myśli.

Oddzielmy w dobrach cywilizacji to, co jest rzeczywistym dobrem narodowym lub ogólnie ludzkim od sztucznego wytworu klas, z którymi dotąd byliśmy w nienaturalnym sojuszu: prawdziwe dzieła sztuki od zbyt kownych zabawek rozrzucającej złoto gawiedzi; prawdziwą wiedzę od sztucznego mędrkowania, nie mających czem zapełnić życia próżniaków; łatwo znajdziemy ku temu kryterium — jeśli będziemy pamiętali правило Kanta: „postępuj tak, aby zasady czynów twoich mogły stać się podstawą prawodawstwa powszechnego“.

Pamiętajmy o tym prostym i jasnym jak dzień pewniku, że czego jeden ma za wiele, tego drugiemu brakuje, bo suma dóbr ekonomicznych jest w każdej chwili ograniczoną i nie może być

podniesiona odrazu po nad wszelkie granice; nie będziemy więc w ucztach życia podobni do owych współbiesiadników, którzy rzucają się z widelcami na półmiski, starając się jak najwięcej zagarnąć dla siebie, niedbali o to, czy co zostanie sąsiadom. A nadewszystko pamiętajmy o dniu jutrzejszym, aby chwila dziejowa nie zastała nas nieprzygotowanymi. Łączmy się w duchu i w myśli, abyśmy mogli kiedyś połączyć się w czynie, a będzie ramię nasze jako piorun.

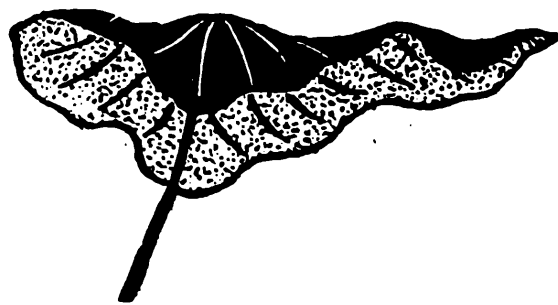
Każde pokolenie inteligencji naszego narodu — nie tej inteligencji ogrodów wiszących, o której mówiłem przed chwilą, ale prawdziwej, tej, która kośćmi swemi zasiewała, a krwią polewała ojczystą ziemię, każde jej pokolenie spłacało krwawą daninę idei wolności i postępu. Dbajmy o to, aby pokolenie, na które teraz kolej przypada, wystąpiło z większym zrozumieniem zadań dziejowych, aby stanęło na równi z wymaganiami epoki, a skoro tak będzie, możemy ufać, iż krew nie popłynie daremnie. Bo w dziejach zawsze zwyciężają te narody, które występują pod sztandarem wielkiej, ogólnoludzkiej, postępowej idei wieku.

Za tymi ludami idźmy, co żyją życiem szerokim, życiem czynu, w których piersiach bije dziejowe tętno!... Za tymi wielkimi duchami zdążajmy, którym przyszłość odsłania swoje oblicze, aby je wcielili w promienne postacie; bo ideały nasze — to rzeczywistość przyszłych pokoleń, a dla nas gwiazda przewodnia na drodze dziejów...

Rzućmy pogardę na tych, którzy gaszą zapawy młodzieńcze, a szlachetny entuzjazm mierzą łokciem swego ograniczonego rozumu którzy starają się ośmieszyć porywy wielkie, sami śmieszni w małości swojej; którzy stojąc na śmieciisku, ostrzegają orła, ogarniającego z podniebnych szlaków widnokreśli nieskończone, aby się w locie nie pomylił...

Mierzmy siły na zamiary, a myślom dajmy orli lot...

*Władysław Kotwicz.*





## RABBI PELALOJ-BEN-PEDAS

(z Talmudu).

Płaczem zmęczony i znużony łzami  
rabbi ben-Pedas padł — i sen go zmorzył,  
skroń mu czarnemi musnąwszy skrzydłami.

I zdało mu się, że się strop otworzył  
nad nim niebieski i w światłości strudze  
zjawił się przed nim Ten, co wszechświat stworzył.

A jako ojciec zszedł ku niemu, słudze,  
z dobrocią wielką i tak pełen łaski,  
jakby mu wszystkie gromy były cudze.

Rabbi się przeląkł, a On złote blaski  
przyćmiwszy, rzecze: Przecz cię płacz uwodzi  
i przecz w twem sercu postrzegam niesnaski?

Ażali nie wiesz, że ten, co się rodzi,  
cierpieć tu musi i iść przez to życie,  
tak jak się drogą pełną cierni chodzi?

O Panie! — jęknął rabbi, — we wszechbycie  
nie masz, w kogoby sroga losu ręka  
godziła nieszczęść ciosem tak sownie!

Oto mój żywot jako jedna męka! —  
Stradałem wszystko i wróg mi w twarz miecie  
śmiechem szyderstwa, gdy mnie serce pęka!

A wszakżem Panie, i ja Twoje dziecię,  
i w prawdziem chadzał przed Twojem obliczem,  
nad grzech niczego nie strzegąc się w świecie...

Więc jeśli Tobie krzyw nie byłem w niczem,  
za co los gorszy dałeś mi od wołu  
twardym oracza smaganego biczem?

Żalim Ci modłów zaniedbał u stołu,  
przy którym jadam gorzki chleb z popiołem  
i piję wodę ze łzami pospołu?

Wszakżeś mię widział z zakrwawionem czołem,  
jakom przed Tobą kajał się w pokorze,  
nieznanych grzechów szukając z mozołem?

Za co mię chłostasz tak, Zastępów Boże? —  
I łkał znów rabbi. Jahweh promienisty  
rzekł zaś, dłoń wznosząc nad biednego łożę:

Zaiste! Jesteś w mem obliczu czysty  
i nie masz żadnej na twem sercu skazy —  
więc w cenie jest mi deszcz twych łez rzęsisty.

A iżem srogie na cię zesłał razy,  
żał mi i radbym odmienił twą dolę,  
byś radosnemi mógł mię czcić wyrazy.

Lecz wiedz, że jedną, Ja Bóg, jeuo wolę  
mam — i niezmiennie są moje wyroki,  
co utwierdziły ład w stworzenia kole.

Nim się strop niebios rozpostarł szeroki,  
prawam zatwierdził wszechbytem rządzące:  
słowa me trwalsze są, niż skał opoki.

I jednym torem odtąd wschodzi słońce,  
gwiazdy niezmienną odbywają drogę,  
a księżyc równe odmierza miesiące.

Zmieniać już tego, com rzekł raz, nie mogę!  
Słońcu i gwiazdom iść przez bezmiar nieba,  
burzom — w gromową stroić się pożogę,

Wodom — w dal płynąć, wichrom lecieć trzeba,  
śmiać się i płakać — ludziom, zasię tobie —  
we łzach pożywać powszedniego chleba...

Lecz żał mi ciebie... I gdy chcesz, to zrobię  
dla ciebie nowy świat, a starą ziemię,  
z bólem twym zniszczę i pogrążę w grobie...

I wskrzeszę nową; nowe ludzkie plemię,  
nowy czas, wszystko! Na tym świecie może  
łżejsze ci padnie dźwigać życia brzemię. —

Umilkł Jehowa. Rabbi duma: Gorze!  
ma-li świat ginąć, by on był szczęśliwy,  
czy on ma dalej znosić ból w pokorze?...

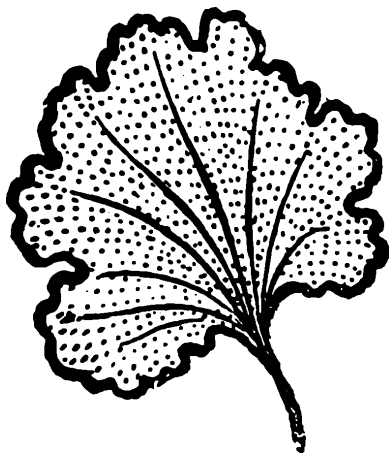
Wreszcie wzniosł czoło: Pan i Bóg mój żywy!  
okazał łaskę nademną, robakiem,  
chcąc dla mnie zniszczyć swojej ręki dziwy!

Panie! niech słońce idzie swoim szlakiem,  
niechaj grzmiały wieki, jak spieniona woda,  
niechaj się niebo gwiazd zasiewa makiem,

Niech się wiosenna okwieca przyroda  
i latem ryczą Twe czerwone burze:  
świat jest zbyt piękny, niweczyć go szkoda —

Raczej niech ja Ci w łzach i nadal służę!...

*Jerzy Żuławski.*



## MŁODA POLSKA.

I.

STEFAN ŻEROMSKI.

Znikną od prądów chwilowych zawiśli  
Za widmem sławy goniący sztukmistrze,  
Lecz nie zaginie siew szlachetnych myśli  
I nie przepadną natchnienia najczystsze.  
*A. Asnyk.*

Młoda Polska!... Spługawiono tak tę nazwę, wytarzano ją w błocie śmieszności, że doprawdy nie wiem, czy można ją umieścić w nagłówku. gdy się chce mówić o Żeromskim, o Reymoncie, o Sieroszewskim, o prozaikach naszych. A jednak trzeba — i nikomu słuszniej nazwa ta należeć się nie może. Nazwa zaś jest piękną — podwójną pięknnością: Polski i młodości. W żadnym kraju może młodość nie jest tak uroczą, jak w Polsce. Przychodzi do nas z orszakiem czarodziejskich widm, dłoniom i myślom zdaje się moc olbrzymów nadawać, i kusi i obiecuje. Za całą nędzę życia rzuca nam kilka chwil upojenia bezgranicznem szczęściem marzeń, wszystko co wielkie, piękne i szlachetne daje nam za towarzyszy — i rozplomieniwszy dusze, ulata. Nigdzie dojrzewanie nie jest tak podobne do jesiennego opadania liści i kwiatów, jak u nas. Ilekroć dzisiaj spotykamy się rówieśni, którzyśmy na ławie szkolnej z jednego

zdroja uczuć czerpali, rozmowa nasza jest tylko spowiedzią z tego, cośmy utracili, i smutnym obrachunkiem tego, co pozostaje. Co pozostaje z wierzeń, z natchnień, z miłości i nienawiści naszych, z bólów i rozkoszy? Czy klątwa beczucia już spopielila nam dusze, czy są jeszcze struny, które dość trącić, aby zadźwięczały, jak dawniej?

Wszystko, co dotąd napisał Żeromski, targa te struny i nie daje im skamienieć. On zbudował pomnik naszej młodości i z przedziwną subtelnością uchwycił wszystkie, by najlżejsze nawet dreszcze, które wstrząsały nam serca. Cały gasnący już w nas świat ducha zmartwychwstaje znowu w pełnym bogactwie swych zagadnień, w pełnej głębi swych zwątpień i rozpaczy, w pełnym blasku swej tęsknoty i pragnienia... Nikt inny nie umie tak, jak Żeromski, „otwierać drzwi nieskończonym orszakom zadumy“. Wchodzą one zewsząd niesłyszczanymi krokami, lekkie drżące ręce kładą nam na ramiona, na skronie, dopóki nie odwrócą nam głowy i wzroku naszego wstecz nie skierują. Patrzmy...

Pod wolnym błękitem Szwajcaryi, wśród różnojęzycznego tłumu zagubieni, kilku młodych słucha pieśni, którą dzieci szwajcarskie witają skałę Tella na jeziorze:

Von Ferne sei herzlich gegrüßet  
Du stolzes Gelände am See.

I oto ogarnia ich rozrzewnienie ciche, bezmyślne prawie, i bolesna troska przypomina im, że wyszli z kraju, gdzie dzieciom śpiewać nie wolno, gdzie dzieci nawet śpiewać nie umieją...

W żelaznym, bezwstydnym rygorze młody chłopak odbywa lata swej służby wojskowej. Styka się z najbrutalniejszymi objawami przemocy, od rana do wieczora otacza go beznadziejna brzydota i podłość. Dusza się w nim dławi. Z pułkiem swym wychodzi na manewry. I oto pod szarem, rozciągniętym niebem zostaje chwilę sam na polach manewrów, na maciejowickich błoniach. W tumanach kurzu znikają mu tłumy piechoty, rozpedzone szwadrony konnicy, jaszczyki artyleryjskie — nad nim niebo, dokoła wielkie zorane tysiącem śladów pole szczere i puste, w środku pałatkowy po dawnej bitwie krzyż. I wtedy z głębokim rozczeniem przypada do tej zbeszczeszczonej ziemi, a kiedy powstaje po chwili pogodny, powiada, że zrozumiał, czym jest ojczyzna.

Czem jest Ojczyzna? Dawno spoczęło w grobach pokolenie, które ustami poety powiedzieć mogło, iż miało w ojczyźnie „pacierz co płacze i piorun co błyska“. Na ustach naszych zamilkły pacierze, a po wystrze-

lonych piorunach nam się tylko już zużle dostały. Ci, którzy walczyć chcieli, miast piorunów, pochwycili za dłuta i młoty. Inni bez słowa i skargi usunęli się w bezczynność. Więc mówiono o pokoleniu naszym często, że nie ma ojczyzny — i dziwnym, a może podłym trafem — posądzano częściej walczących, niż bezczynnych. Ale to nieprawda. Tylko że ojczyzna jest dla nas tem, o czem pisze Żeromski. Jest głębokiem rozrzewnieniem, od którego łyż duszą w gardle, jak bezustanną świadomością upokorzenia i krzywdy. I dlatego nasza miłość ojczyzny jest cicha. Człowiek mordowany i męczony skarży się głośno i wzywa świat cały na świadectwo, policzkowany — milczy i milczeć musi. Patryotyzm doby dzisiejszej głęboki, ukryty i wstydlivy jak ból i hańba, w Żeromskim tylko dotąd zdołał się wyrazić. On tylko potrafił pozbyć się do szczeru romantycznej retoryki i stworzyć zupełnie nowe, nasze pojęcie ojczyzny. Że sąd ten nie wypływa z osobistej stronności, świadczy chociażby niezwykła poczytność tych właśnie jego utworów. Poczytność tem dziwniejsza, że Żeromski jest szorstkim, męczącym i bezlitosnym poetą. Nie oszczędzi ani jednej prawdy, ani jednego obrazu — chociażby miał się posunąć aż do granic wstrętu (kara cielesna w „Mogile“). Ale po epoce romantyzmu jest to pierwszy i jedyny — zapewne na długo — szczerzy głos uczuć narodowych. Jest to olbrzymia zasługa społeczna i pod tym względem Żeromskiemu należy się miejsce na równi z plejadą naszych wielkich poetów: on podniósł głos za całą epokę. W głosie tym czuć ogromny dreszcz bólu, ale niema rozpacz. Jednostki giną, ale idea żyje. W ostatniej swej powieści Żeromski pokusił się o zadanie jeszcze wyższe: zapragnął wskazać, jak się ta idea w duszach tworzy, jak się rozrasta i utrwała na zawsze. Każden, kto przechodził przez szkołę rosyjską, wiódł tę walkę codzienną, walkę jednocześnie tragiczną i komiczną: tragiczną przez wielkość celu, komiczną przez dysproporcję sił. Zapominamy o niej łatwo, bo wpływy, które się na odporność narodową składają, są nieraz tak nieuchwytnie i drobne, że ze świadomości i pamięci się usuwają. Ztąd też powieść Żeromskiego nie daje zupełnego obrazu tworzenia się narodowości w duszy dziecka; chwyta tylko niektóre najwybitniejsze, najbardziej przełomowe chwile w tem tworzeniu.

Jeśli z pomiędzy tylu współczesnych naszych pisarzy, tylko Żeromski umiał poruszyć najgłębsze, najdrażliwsze strony naszego zbiorowego życia i dać głos najcichszym uczuciom, to niewątpliwie w jego organizacyi duchowej muszą być pierwiastki, które go do tego uzdalniały i które przejawiać się będą wtedy nawet, gdy do

innych przedmiotów się zwróca. Łatwo je odszukać, gdyż przebijają się one w każdym wierszu Żeromskiego, we wszystkich jego zaletach i wadach. Żeromski jest nieporównanym stylistą, opisy jego czarują subtelnością rysunku i barw. Ale czy opisy te właśnie zostają nam w pamięci, skoro odłożywszy książkę, na chwilę pogrążymy się w zadumie? Stanowczo nie. Żeromski jest również niepowszednim obserwatorem psychologiem, ale żadna z postaci, które on stworzył, nie narzuca się potem naszej świadomości. Cóż więc zostaje? — Sama treść rzeczy, oderwane zagadnienie moralne. Dla Żeromskiego cały świat zewnętrzny jest tylko jednym długim szeregiem problemów etycznych. Żeromskiego nie zajmuje nigdy fakt jakiś pojedynczy dla swej plastycznej piękności; najważniejszym dlań jest zawsze leżące na dnie zagadnienie. Opisy i charaktery daje on zawsze jakby niechętnie, jakby z musu tylko o tyle, o ile są potrzebne, aby zagadnienie samo stało się zrozumiałem. Ztąd wszystkie dłuższe utwory Żeromskiego sprawiają wrażenie, jakgdyby autor, wyczerpawszy ich treść etyczną, znudził się nimi i niedbale za pierwszym zdarzeniem urwał, nie kończąc wcale. Właściwie takich utworów jak „Promień“ lub „Oko na oko“, nie można nawet nazwać powieściami. Są to fragmenty — ale tylko pod względem formy; z treści swej są to utwory całkowite i wykończone. Oto w „Promieniu“ wraca do kraju po długich latach wygnania Jan Raduski, człowiek dojrzały i świadomy swych obowiązków. Chce i może pracować dla swych ideałów, dla siebie nie żąda niczego. I nagle, jakby z za węgla, ukazuje mu się kuszące widmo osobistego szczęścia; nim jeszcze rękę ku niemu wyciągnąć zdołał, znika z piekielnym szyderczym chychotem. Ta sama bezmyślna konieczność, która dłonią przemocy wydarła mu najpiękniejsze lata młodości, zarzuca kochanej przezeń kobiecie stryczek samobójczy na szyję, jako ostatni ratunek przed potworną i nieuleczalną chorobą. I wtedy w Raduskim dusza raz na zawsze dla własnego szczęścia umiera. Cała doniosłość i całe piękno „Promienia“ skupia się w opisie tej jednej nocy, którą Raduski spędza po śmierci pani Poziemskiej. Czy i jak można żyć, gdy zabraknie tej zwykłej dźwigni życia — żądy własnego szczęścia? Gdy Raduski w najskrytszych głębiach swej duszy znalazł dla siebie odpowiedź, nie jestże to rzeczywisty koniec tej powieści? Żeromski też w tem miejscu ją urywa, nie troszcząc się o dalsze losy publicznej pracy Raduskiego.

Aby wykazać w każdym zdarzeniu życia ukryty problemat etyczny, Żeromski do genialnej wprost potęgi posuwa w swych

postaciach uświadomienie uczuć. Nie jest to jednak analiza psychologiczna, która w zwykłej robocie literackiej polega na częściowym rozdwojeniu osobowości i przesiewa stany uczuciowe przez sito operacyj logicznych; jest to raczej nieporównana wyrazistość, jasność i pełnia najłżejszych drżeń uczucia, nieskończona subtelność i dokładność w chwytności nastrojów. I jeszcze jedno. Żeromski posiada zdumiewającą zdolność kojarzenia uczuć, z potężną fantazyą a nieubłaganą logiką umie on rozwinąć ich splątana, delikatną przedzę. Jego zdolność czucia zdaje się być wyższą nawet i bardziej bezpośrednią, niż wrażliwość czysto fizyczna. Przejawia się to niezmiernie charakterystycznie w samym stylu. On jeden ze znanych mi autorów używa bardzo często zwrotu, który nazwaćby można „porównaniami odwrotnymi”: zjawiska konkretne objaśnia i uzmysławia zjawiskami, zaczerpniętymi z życia duchowego. „Legendy są jakgdyby westchnieniami ludzkości”; noc zapada jak rozpacz i t. d. Świętochowskiego określenie poety, jako człowieka pierwotnego, stanowczo się tu stosować nie da. Mamy tu do czynienia z indywidualnością artystyczną, dla której stany duchowe są czemś konkretniejszym i bardziej dostępnym, niż wrażenia fizyczne.

Te typowe cechy twórczości Żeromskiego w całej czystości skrytykowały się w noweli „Cienie” („Opowiadania powieściowe”). Jest to bez wątpienia jeden z najwspanialszych utworów literatury wszechświatowej — plód głębokiego rozmysłu artystycznego, który świadomie lub nieświadomie rozmierzył i uzasadnił każdy szczegół, i zestroił je w przepyszną harmonię. Jest to zarazem potężny rzut światła do najgłębszych, najdalszych cieśni, do samej istoty wzajemnego stosunku ciał i dusz. I ta dusza aż do dna jest duszą; autor nie ułatwia sobie zadania i nie rozkłada jej sztucznie na warstwy i skorupy, które oskrobywać należy, by ją w nagości ukazać.

Ta niepospolita wrażliwość dla zagadnień moralnych, wydobycie pierwiastku etycznego w najbliższym może na pozór zdarzeniu, zespala Żeromskiego z całym młodem pokoleniem naszym — dopóki młodem jeszcze pozostało. Okrutne i nieuniknione pytanie, czym żyć, co kochać? — nigdzie częściej, nigdzie szczerzej i poważniej niż u nas nie stoi u wstępu życia. Niektórzy z bohaterów Żeromskiego odpowiadają na nie: obowiązek — ale odpowiedź ich jest smutna i nieubłagana, jak konieczność. Obowiązek ten nie daje w zamian nic, nawet pewności, że był świętym i sprawiedliwym. Kruszy wszystkie więzy, łamie zapory i za sobą pozostawia ruiny. Nie zna on przebaczenia i litości. Strzeże praw moralnych z tą samą



bezwzględna srogością, z jaką siły przyrody czuwają nad wykonaniem praw fizycznych. Nie dopuszcza zwątpienia, ale i nie rokuje nadziei. Jego wyznawcy idą przez życie z obłąkanym prawie wzrokiem, jakby opętani potężnym zaklęciem, nie pytając już nawet o cel swej drogi. Młody uczonek wraca do kraju, do ojca, który go kocha nad życie i dowiaduje się, że ojciec ten przez lata obcinał robotnikom zarobki, aby go na obczyźnie utrzymać. Bezmyślnie, bezlitośnie porzuca znów ojca, aby prędzej dochodami swemi mógł spłacić dług dla niego zaciągnięty (Dr. Piotr). Młoda, piękna kobieta, żona nieuleczalnego waryata, spotyka w wagonie człowieka, o którym wie, że ją ubóstwia, i czując na sobie jego gorący wzrok, tłumi wszystkie porywy życia i rozsypując u nóg swych wiązaną kwiatów, szepcze smutnymi ustami: nie można, nie można (Tabu). Wśród jesiennego wichru i śloty, ścigany zewsząd przez wroga powstaniec wiezie broń dla oddziału; wie, że powstanie upaść musi, że walka jest bezowocną, że śmierć nań czyha — ale idzie naprzód z uporem rozpaczy.

Obowiązek, tak jak go pojmują Żeromski, nie ma w sobie nic chrześcijańskiego. Tak, jak u stoików, nie poszukuje dla siebie zewnętrznej sankcji, ale opiera się na sobie samym, na poczuciu godności ludzkiej; wierzy, że „godność ludzka nie ustępuje wielkości bogów“.

Postaci Żeromskiego są niesłychanie dumne, i cierpią najwięcej tam, gdzie duma cierpi. Ale nie tylko duma każe im być czcicielami obowiązku: byłyby to wtedy kreacje zimne i nie wzbudzałyby tak gorącego tchnienia sympatii. Jest w nich również żywe i bezustanne pożądanie moralnego piękna, ta nadludzka prawie i twórcza chęć wyłamania czynów z pod kaprysu dowolności, chęć wzniesienia się nad dziedzinę odruchów, które dla lada wymoczka są dostępne. W tem dążeniu dusza ludzka bezwiednie wzoruje się na przyrodzie, która ją otacza. Tak jak piękno i harmonia przyrody polega na istnieniu pewnych trwałych stosunków i na działaniu nieugiętych sił, których celu zapewne nigdy nie poznamy — tak również piękno moralne polegać musi na trwałem skoordynowaniu uczuć i czynów. Obowiązek jest tym szkieletem, który postaciom Żeromskiego zapewnia jedność duchową: ulegają mu ślepo — pod grozą rozprzężenia wewnętrznego i zagłady.

Dlaczegoż więc to piękno moralne, którego pragną i które osiągnąć nie dają im szczęścia? Świat rzeczywisty jest jeden, ale światów moralnych może istnieć całe mnóstwo i wszystkie mogą być również piękne. Wewnętrzną spójnią zbrodniarz może nie ustę-



pować bohaterowi, prostytutka – dziewicy. Każde zagadnienie moralne jest równaniem wyższej potęgi, które dopuszcza więc nie jedno, ale cały szereg rozwiązań: dodatnich, ujemnych lub urojonych. Bohaterowie Żeromskiego mają jasną samowiedzę tej względnej wartości każdej cnoty. Ztąd ich niezgłębiony, przeraźliwy pesymizm. Na ich ustach przywarł lodowaty uśmiech ironii, która zarówno zdaje się pogardzać nikczemnością i cnotą. Do szpiku kości szlachetni szlachetnością abnegacyi i poświęcenia, nie rozumieją i nie silą się rozumieć ani jej celu, ani jej początku. Uczucie ich i czyn nie zna wahań i szamotań, ale myśl wątpi zawsze. Tak jak my wszyscy, są oni opętani przez bóstwo, któremu nie wierzą i którego może nie czczą nawet. A jednak mu służą...

*Jan Sten.*



## GOŚC CODZIENNY.

*Pani M. G.*

Przez zmierzch liliowy  
Nad mą głową,  
Przez omdleń ciszę  
Purpurową,

Przez tajemnicze  
Lasów szумы,  
Przez pola senne  
Od zadumy –

Przez upojenia  
Księżycowe,  
Przez srebrnych fontan  
Dziwną mowę –

Przez toń wieczoru  
Krwawozłotą  
Ty płyniesz ku mnie  
O tęsknoto!...

*Filip Eisenberg.*

## Z LITERATURY OBCEJ.

„Kurhan“ i „Olaf Lilienkrans“, dwa nieznane dramaty Ibsena.

Les âmes froides n'ont que de la mémoire; les âmes tendres ont des souvenirs, et le passé pour elles n'est point mort: il n'est qu'absent.

Mme de Krüdner.

Wspomnienie ma dużo wspólności z marzeniem. Jedno i drugie rozporządza cudownym wprost środkiem technicznym: perspektywą, która jak wiadomo przeistacza zgęszczone opary w szubujące po „niebieskim przestworze“ łabędzie, gromadę obdartych chałup — w uroczy i malowniczy zakątek, trud potem płaczący — w estetyczną pozę i ruch — i tak w nieskończoność. Pod to jedno pojęcie perspektywy dałaby się podciągnąć ogromna suma ludzkiego szczęścia, tego szczęścia, na którym polega sama możliwość istnienia. Czem odległość jest dla oka, tem jest czas dla pamięci. Powiadamy: „czas odsuwa“, „czas niszczy“, wreszcie czas daje zapomnienie, to smutne, lecz jednak zbawcze źródło bytu.

Tak więc, gdy trzeźwy człowiek wypędził z ziemi wszystkie nietrzeźwe duchy i te, które mu sprzyjały, i te, które mu były wrogie, te, które śpiewały na dnie jezior i te, które kochały się w zaciszu lasów i kniej, gdy nie ulitował się nawet nad tymi, które strzegły jego ogniska — opatrzna ręka życia bez woli i wiedzy jego ustanowiła nad nim dwie obrończe siły.

Służą jego trzeźwości, są mu więc potrzebne i blizkie. Gdy zaś z barek jego na krótkie godziny spada brzemień codziennej pracy i troski codziennej, natenczas nieproszone nawet opowiadają mu dziwy i pokazują cuda. I zdarza się, że człowiek, oporny i niechętny z początku, z wolna poddaje się słodkiemu czarowi, zatapia w nim duszę, wzywa go, gdy ucieka i długo, długo śni o zawidzianych w chwili zadumy obrazach.

To wszystko zdarza się, gdy człowiek wspomina lub marzy, gdy przyjmuje przyjazne świadczenia odległości i czasu, gdy bieży ku złocistym pałacom, które mu one zarysowują na piaskach życia, i zbiera kwiaty z zielonych łąk, które niegdyś były może ogrodem mogił.

W biegu wieków znikły cmentarze; pokryły je barwne, kwietne kobierce, ku którym idzie zmęczony człowiek po piękno, świeżość i woń majową.

To błogosławieństwo, z czasu i odległości płynące, nieświa-

domie może wyczuł romantyzm. Nie mówię, że szedł po nie, że go szukał, że wniósł je do poezji powiadając ludziom: „patrzcie, oto z dalekich, zamierzchłych epok, z gór i wód zaludnionych przez wyobraźnię ludu niosę wam promień szczęścia“. Tego romantyzm nie mówił. Był teorią literacką, miał więc na widoku przede wszystkim dobro poezji, nie zaś szczęśliwość ludzką w ścisłym tego pojęcia znaczeniu. Poezja potrzebowała odrodzenia — po nie tedy sięgnął romantyzm do żywych, nienadpsutych źródeł podania, legendy i baśni ludowej. W rzucie tym drgało jednocześnie pragnienie indywidualnego, narodowego bytu poezji stężalej i zamierającej niemal pod ciężarem marmurów klasycznych. Fala myśli romantycznej miała w sobie wprawdzie etyczne pierwiastki, lecz dają się one mniej więcej streścić w następujących słowach Uhlanda: „Bogata wyobraźnia, potężne postaci, rozmach opowieści bohaterских, wszystko to rozszerza widnokrąg i wzmacnia sposób myślenia w r z e c z a c h p o e z y i... Istnienie znakomitych utworów w dawnych czasach budzi w nas potrzebę przeciwstawienia im również tylko godnych i znakomitych dzieł w duchu epoki pisanych. Oko skrzepione widokiem Alp patrzy wysoko <sup>1)</sup>).

Jest to bądźco bądź pogląd etyczny, ale zacieśniony ograniczeniem: „w r z e c z a c h p o e z y i“.

Im, romantykowi, szło przede wszystkim o poezję. Dokonali zadania, odrodzili ją istotnie — ale po tem odrodzeniu nie mógł minąć jej los żywych: żyła, starzała się i umarła.

Przetrwał ją jej duch, duch, który istniał zresztą odkąd istniała dla człowieka potrzeba wypowiedania i dopełniania duszy w poezji i przez poezję. Zasługą romantyzmu jest, że uprawnił niejako w rzeczypospolitej piśmienniczej marzenie i wspomnienie, że z czasu i odległości stworzył krynicę niezmiernej dla człowieka pociechy, że te dwa pierwiastki, które były i będą, ujął, pochwycił i pokazał. To czyniąc, nieświadomie może i jak powiadam, bez myśli o szczęściu ludzkim, natrafił na źródło wieczne, z którego czerpie i czerpać będzie smutny człowiek, ilekroć zapłoną w nim „liryczne szczyty duszy“, jak mówi Annunzio.

Póki trwać będą pamięć i wyobraźnia ludzka, człowiek będzie wspominał i wysyłać będzie duszę swoją na dalekie wędrówki w świat i zaświaty. Są to zatem dwa wieczne pierwiastki twórczości, z którymi napróżno podjęłyby walkę te teorie literackie, które do

---

<sup>1)</sup> Uhland: Aus den Vorlesungen über Geschichte der deutschen Poesie im Mittelalter.

życia w literaturze uprawniają jedynie chwilę, byt realny, współczesny, radość i tragizm, przezeń wytworzone. Możemy doskonale pomyśleć sobie czas, kiedy znikną z ziemi warunki produkcji dzisiejszej i kiedy wraz z nimi zamilknie brzęk pieniądza, wycie posuwających się w jego orszaku widm, jęki nędzy i wołanie głodu. Możemy sobie doskonale pomyśleć chwilę, w której arcydzieło Hauptmana „Tkacze“ będzie tylko niezmiernie ciekawym dokumentem przeszłości, kartką z kroniki, świadectwem, strasznem i dziwnem świadectwem o tem, jako był czas, zwący się ogromnym rozkwitem kultury i jako w czasie tym byli ludzie, którzy pracując od rana do nocy, mnożąc w nieskończoność bogactwa, sami cierpieli głód, poprostu głód, i z rozpaczą głodu domagali się chleba. Więc „Tkacze“ mogą się zestarzeć, mogą nie znaleźć w przyszłości tego oddźwięku, jaki budzą w nas dzisiaj, chociaż niewątpliwie są arcydziełem. Natomiast nie zestarzeje się, nie straci na sile, na tragicznej grozie i poezji „Dzwon zatopiony“ — bowiem nie zaniknie nigdy głód duszy ludzkiej i nie zanikną powikłania, które on sprowadza. Zmienia i zmieni się tylko forma, w której dusza woła o pomoc dla siebie i zbawienie — treść wszakże tego wołania od dni Hioba, aż po najpóźniejsze czasy pozostanie ta sama.

Nie była ta dusza szczęśliwa za panowania romantyzmu — nie jest szczęśliwa i dzisiaj. Tylko, że romantyzm pozwalał jej prześnić sen życia, gdzie i jak chciała. Mogła bujać w obłokach, mogła oddalić się o setki lat i mil od chwili, mogła spocząć na dnie zaczarowanych jezior, mogła prowadzić długie, rzewne rozmowy z zaświatem i kiedy mówiła, że jej z tem dobrze, wierzono jej. Nikt nie ściągał jej za włosy na taki a taki skrawek ziemi, nikt nie kazał jej wyc, jęczeć i szarpać, kiedy wsłuchiwała się w śpiewy cherubinów i wtórzyła im. Realizm powiedział, że to są kaprysy, fantazyje i że tak dłużej być nie może. Jak i o ile usłuchała go dusza ludzka, tu rozpatrywać nie będę. Zdaje mi się wszakże, że jej realizm z kaprysów nie wyleczył.

W tej czarownej dziedzinie romantycznego marzenia bujał w młodości Henryk Ibsen. W całkowitem wydaniu jego dzieł<sup>1)</sup>, znajdują się dwa po raz pierwszy drukiem ogłoszone utwory „Kurhan“ (Das Hunengrab) i „Olaf Lilienkranz“. „Kurhan“ był napisany w r. 1850 i grano go nawet w r. 1854 i 1856 w Bergen i w Chrystyanii. Brandes dopatruje się w tym dramacie wszechwładnego podówczas wpływu Oehlenschlägera, który daje się podobno odczuć zarówno w formie jak i w treści.

<sup>1)</sup> S. Fischer, Berlin 1898.

Myślę, że jest to okoliczność zupełnie obojętna. Niema dzieła, o którym możnaby było powiedzieć, że powstało bez jakiegokolwiek bądź wpływu. Oehlenschläger był romantykiem również niesamorzu-tnym, jak Ibsen i nietrudno byłoby dowieść, na kim się wzorował. Nie wiem, czy zasługa Ibsena, jako pisarza, byłaby większa, gdyby w rozwoju swoim był ominął zupełnie bystre wody romantyzmu i nie wiem, czy bez Oehlenschlägera nie byłby znalazł ujścia dla tych wzlotów wyobraźni i temperamentu, które umiejscowił na gruncie romantycznym. Obaj byli myślą i słowem czasu. Myśl na szczęście nie jest własnością prywatną...

Przypomina mi się anekdotka, którą opowiada Anatole France: Pejzażysta Harpignies, który jest podobno Michałem Aniołem drzew, spotkał kiedyś w jakiejś wiosce w okolicach Sologne młodego ma-larza — amatora, który przystąpił do niego i głosem nieśmiałym, a nalegającym zarazem, rzekł:

— Przepraszam cię mistrzu, ale okolicę tę sobie z a r e z e r-  
w o w a ł e m.

Harpignies nic nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko uśmie-chem Herkulesa.

Tak samo prawdopodobnie uśmiechnąłby się Oehlenschläger, gdyby usłyszał, że dla niego rezerwują okolice romantyzmu.

„Kurhan“ jest poematem dramatycznym, pełnym niewysło-wionego wdzięku. Przeniósł się w nim Ibsen w odległe czasy, kiedy to przez siódmą górę i przez dziesiąte morze bohaterowie skandy-nawscy puszczali się w daleki świat po coraz to nową zdobycz, po coraz nowe przygody, po zemstę, po sławę i po miłość. Wiking Gandalf jedzie po zemstę za śmierć ojca — u stóp wszakże kurhanu, na uroczej wyspie, objętej ramieniem morza Śródziemnego — znajduje białe linie w wieniec ku ozdobie tego kurhanu uwite i czystą jak te śnieżne kwiaty, z rozmarzenia, tęsknoty i zapału uplecioną miłość Blanki. Już — już Roderik, rzekomy ojciec Blanki i ona sama mają paść ofiarą krwawego zwyczaju północy, kiedy okazuje się, że sędziwy starzec jest poszukiwanym przez Gandalfa i jego drużynę królem Rörckiem, Blanka zaś przybranem jego dzie-ckiem, w które tchnął miłość dla śniegów północy i podziw dla jej bohaterów. Z wiernym piewcą dawnych czasów, ze skaldem Hem-mingiem zostaje król Rörck, jako ostatni z niknącej już epoki, przy kurhanie, kryjącym jego królewską zbroję. Gandalf zaś i Blanka, oboje młodej jutrzni dzieci, wracają na północ, by „gdy skruszył się młot Thora“ ojczyznę wielką „poddać Baldara i Frei opiece“. Oboje czują, że minęły czasy wypraw wikingowych, że pora „złożyć

miecz i pożogę pod kurhanem sag i pieśni, że jednak z pod kurhanu tego powstanie nowy kraj północy, który na morzu myśli żeglować będzie po czyny ducha“.

„Olaf Lilienkranz“ — według informacyi Brandesa — grany był w Bergen dwa razy w r. 1857. Dotychczas nie był drukowany nawet w języku duńskim — przetłómaczono go na niemiecki z jedynego istniejącego rękopisu. Krytyce nie podobał się.

W sztuce tej osnutej na dwóch średniowiecznych podaniach jest już Ibsen — wieczny romantyk, Ibsen — symbolista, Ibsen wreszcie pełen zwątpień i bolesnej ironii. Poezja tej udramatyzowanej legendy osnuwa złotą jakoby przedzą trzy postacie: Thorgjerda grajka i pieśniarza, Alfhildę — jego córkę i Olafa, „realnego“ syna, „realnej“ pani Kirstin. Olaf zakosztowawszy czaru marzeń i odbiegającego od powszedniości piękna, już do tego dnia powszedniego wrócić nie może i na wieczne czasy złoży swoją duszę w ręce baśni — Alfhildy. Ona znająca życie tylko z pieśni Thorgjerda, przedstawia je sobie jako ucztę słoneczną, w której nawet śmierć jest szczęściem i pięknem. Lecz ledwie zetknęła się z życiem, a już zawołać musi:

„Nie tak mówiła ojca mego pieśń!“

Wchodzi wszakże w życie, chroniona złocistym puklerzem miłości, od której bije taka moc i taka jasność, że trudno nie wierzyć, aby nie pierzchło przed nią wszelkie zło.

A jednak ostrzega ją Olaf:

...Skarb przepyszny króla gór, jak złoto błyszczy wśród nocy...  
Chwycisz poń ręką chciwą, a w piasek się zmieni i muł. Tak i z życiem. Woła cię blaskiem do blasku gwiazd podobnym, lecz tylko, gdy oko tve widzi je z dali...

O jakże błogosławić trzeba tę poezję, która na krótkie bodaj chwile pozwala nam oddalić się od gminnych domostw Kirstinowych i poi nas czarownem marzeniem dusz wiośnianych!

O jak to dobrze zadumać się o życiu, niby o przepysznym skarbcu króla gór i zawołać z poetą:

Nie srebrnosennej bajki miękkim łonie

Śnij serce, śnij!...

O jak to dobrze, że człowiekowi wolno być czasem „romantykiem!...“

*Malwina Posner-Garfein.*

# LUŻNE KARTKI.

## Z krakowskiego bruku.

(*Sotwaros*). Mój przyjaciel, młody doktorand Jan D. człowiek bardzo trzeźwy opowiadał mi w tych dniach jedno zdarzenie tak dziwne, że nie mogę się powstrzymać, aby go tu dokładnie nie powtórzyć. Rzecz jest wprawdzie niezrozumiała a nawet nieprawdopodobna, ale przez to w naszych mistycznych czasach tem więcej na uwagę zasługuje. Oto własne jego słowa:

Ostatniej niedzieli znajdowałem się wraz z dwoma kolegami na stacyi ratunkowej. Przybyliśmy o ósmej i zjadłszy skromną kolację, zabawialiśmy się trochę kartami, bo roboty nie było. Dopiero o dziesiątej zawezwano nas telefonem, aby odwieść do szpitala jakiegoś młodego szaleńca, który jak nam powiedziano nagle i bez widocznego powodu zaślął na zanik świadomości (*decessus intellectualis*). Jestto lekka i niezbyt niebezpieczna forma obłądu — w Krakowie jedna z najpospolitszych. Moi dwaj koledzy wsiedli do „bratrury“ i pojechali. Zostałem sam. Próbowałem się trochę uczyć, później chodziłem po pokoju, przeczytałem Reformę; starannie ominąłem „uwagi pessimisty“ — nie spałem więc napewno. Nie, wierzaj mi — czuwałem stanowczo — jeszcze po przeczytaniu gazety rozmawiałem ze strażnikiem, nakręcałem zegarek i zauważyłem, że nie było jeszcze jedynastej. W pokoju była zupełna cisza. Nagle drzwi otwarły się z łoskotem i z powiewem zimnego powietrza z korytarza wpadła raczej, niż weszła do pokoju dość młoda i przystojna kobieta. Już to jest dziwne, że nie słyszałem, aby jej strażak bramę wchodową otwierał. Jak gdyby w okropnem znużeniu upadła biedaczka na tapczany z krzykiem: ratuj, ratuj mnie doktorze! Podbiegłem natychmiast do niej, poprawiłem trochę na poduszkach, schwyciłem za puls i począłem się jej przyglądać, czy nie ranna czasem, lub nie pobita. Niedzielą bowiem najłatwiej o bójki. Ale nie, nie dostrzegłem ani sińców, ani pokrwawień. Od czasu do czasu gwałtowne odbijanie wstrząsało jej chudym ciałem. Wśród odbijań powtarzała do siebie raz poraz: Jak oni mnie męczą, jak oni się obchodzą ze mną. O mój Boże, mój Boże, czemuś mię nie zabrał do siebie, a takiego dał dożyć pohańbienia. — Masz tobie — pomyślałem w duchu — ładna historia, jakaś pijaczka, z którą absolutnie nie wiadomo co począć; byle tylko nieporządku nie narobiła w pokoju. Powiadam więc do niej: Niechże się pani uspokoi, odpocznie, położy się — trochę chociaż wytrzeźwi. —

Jak się nagle zachnie, zerwie na równe nogi i nie wrzasnie na mnie: Za kogo pan mnie ma, co pan sobie myśli. Ja mogę być u nich kucharką, pomywaczką, dziewczką do najgorszych posług — ale pijaczką nie jestem! na Boga — nigdy! To ze złej strawy — przysięgam, ze złej strawy. Bo jak mię karmili! Ani mięsa, ani chleba, ani ciastka chociażby: konfitury z mydłem jadłam, — pfe — hyzopy i syfilityczne orchideje i inne jakieś śmierdzące zielska, od których by krowa nawet uciekła. A ja mui ałam. Na światło dzienne



mię nie puszczali, z kotami w nocy kazali po dachach biegać. Ot, na co mi przyszło.

I wybuchła biedaczka spazmatycznym płaczem i osunęła się całym ciężarem na stojące tuż krzesło.

Nic nie rozumiałem już o co chodzi, ani wiedziałem jak mam pomódz, ale wiesz, że nie mogę patrzeć na łzy kobiece; zacząłem więc ją uspokajać jak tylko mogłem najtkliwiej, że każdy z nas chętnie się jej losem zajmie, że pomożemy, o ile będzie można, że znajdzie mnóstwo życzliwych, że teraz jednak pierwszą rzeczą jest odebrać ją od tych, którzy ją dręczą i głodzą, że natychmiast zawezwę p. komisarza z policyi i pojedziemy we troje na miejsce jej umartwień. Ledwie wspomniałem o policyi, gdy ta utkwiała we mnie już nie przeżalone, lecz wprost obłąkane oczy i krzyknęła: Na Boga! bez policyi. Policya mnie zabije, na wieczne czasy każe mi gnić w więzieniu, nie wypuszczą już nigdy. Ulituj się nademną, doktorze! Stropiłem się do reszty; zbrodniarka jaka, czy co. Co się mam w to mieszać — mówię więc do niej, że jak nie chce, to nie poślę na policyę, że tu na stacyi może być zupełnie bez trwogi, że jej się nic nie stanie; niech odpocznie trochę, odetchnie; może medycyna znajdzie jakie środki na jej bóle, jeśli wreszcie mi powie, co jej dolega i czego pragnie.

Widoczna ulga zajaśniała na jej twarzy. Zaczęła się rozglądać po całym pokoju; widać bawiło ją otoczenie, w którym nigdy zapewne nie była. Łzy zwolna wysychały na jej licach, lekki uśmiešek wypełzał na pieszczotliwe jej usta. Dziwna to była twarz: niepodobna byłoby wieku jej określić. Usta, cera, bujne włosy, rozrzucone nad czołem czyniły ją bardzo młodą, wiosnianą prawie; ale oczy, skoro się zamyśliły, jakby zgryzot swych przypomniawszy — nadawały natychmiast twarzy piętno starości i odwiecznego jakby zadumania. Mimo — a może właśnie dla tego — moja niespodziewana pacjentka była bardzo piękną, a nadewszystko ponętą.

Chwilkę siedzieliśmy w milczeniu — nagle towarzyszką moją parsknęła srebrzystym śmiechem.

— Okropnie pan poważny — rzekła do mnie — a ja nie lubię poważnych — o nie. Proszę się śmiać ze mną, weselić — oto czego chcę.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć i bezmyślnie przeciągnąłem ręką po czole. Zobaczyła obrączkę na palcu.

— Pan żonaty?

— Tak jest, proszę pani.

— Żona pańska pewno szczęśliwa z Panem? A ja nie mogę jakoś wyjść za mąż. Pamiętam co Adaś napisał:

Gdy na dziewczynę zawołają żono

Już ją żywcem pogrzebiono

— A ja chcę żyć, żyć wiecznie. I będę żyła — doprawdy! Byłem w domu — żem też odrazu tego nie zrozumiał. Waryatka, waryatka. Zawsze mam szczęście do waryatów na dyżurach. Poł-



knąłem dyskretnie mimowolny uśmiech i czekałem, co dalej powie. Przepadam, jak wiesz, za waryatami.

Ale ją nagle ogarnął szal wesołości. Zerwała się z krzesła, podbiegła do stołu, gazetę z obrzydzeniem zrzuciła na ziemię i zaczęła przewracać książki. Były tam anatomie, chirurgie, psychiatrye; krzywiła się niemiłosiernie, patrząc na rysunki pokrajanych ciał. Otworzyła szufladę, schrupała kilka kawałków cukru — głodna była widocznie — wydobyla jakieś skrawki różnych książek, które dyżurni ze sobą przynoszą. Było kilka stronnic wierszowanych; wzięła je do ręki i zaczęła uważniej przeglądać. Zamyśliła się, oczy jej posmutniały i pokryły się łzami; szepnęła jak do siebie: on to przy mnie napisał, kochany, kochany.

Zbliżyłem się i zajrzałem do książki, którą trzymała w ręku. Był to arkusik z dzieł Mickiewicza: Dziady.

Musiałem się w oczach zdradzić z myślami, bo spojrzała na mnie z wyrzutem i rzekła:

— Nie śmiej się doktorze, ja znałam go bardzo dobrze, bardzo blisko. Darmo kłamać, niejedną noc spędziliśmy razem. Ach! było nam dobrze. Szłam za nim tyle lat. Ale jak się ożenił, to nie miał czasu ze mną się widywać; ledwie kilka razy wpadłam do niego na chwileczkę.

— Dlaczegoż więc nie piszą nic o pani w historii literatury — rzekłem najpoważniej, jak tylko mogłem. Mówią o Sobańskiej, o Działyńskiej, o... ale o dotąd żyjącej bogdance Mickiewicza nic a nic nie słyszano.

— Taka już sprawiedliwość na świecie. O arystokratkach wszyscy gadają, a że ja z ludu, więc o mnie cicho. Ale wierz mi doktorze, że on tylko o mnie dbał na prawdę, a tamte — ot za narzędzia używał — i nieraz ze mną brzydkimi chrzczył słowy, obce swej duszy jurne białogłowy. Wspomniałam jego, — i rym mi się wyrwał.

Zamyśliła się. Zegar nagle bić począł i wydzwonił północ.

— Zmęczona jestem i spać mi się chce. Położę się tu u was.

I już chciała skoczyć na tapczany. Przeraziłem się. Porwałem ją za rękę i rzekłem zmieszany:

— Ależ, proszę pani, nie można tu nocować. Nie wolno stanowczo. Ustawa zabrania wogóle obcym, a cóż dopiero kobiecie. Co powiedzą o pani, opinia pani będzie zgubioną; choć nie znam wprawdzie pani nazwiska, ale bądź co bądź nie wypada. Odwiozę panią, gdzie pani rozkaże, jak tylko koledzy z wozem powrócą — ale na przenocowanie tutaj zgodzić się nie mogę. — Miła rzecz nocować z szaloną.

Spojrzała na mnie pogardliwie.

— Ach ta cnota! zawsze mnie gubiła, zawsze mi na drodze stała. Zadusić się u was można. No i gdzie pójdę, dokąd? Nikt mię przyjąć nie chce; oni tam otworzyli mi swoje drzwi, weszłam ufna i nierozumna, jak dziecię i ładnie mnie urządzili. I znów mam wracać do nich, do tej podłej strawy, do zimnego leża, gdzie niema do kogo ust otworzyć, bo i co ci niemowlęta odpowiedzą —

chyba jękną lub zaśkomią. A ja już tak tęsknię za kawałkiem człowieka, prawdziwego silnego człowieka. Tak więc to los twój, ty niegdyś słońce wróżko, nadętych malców być sługą i stróżką.

Zaśmiała się ironicznie.

— Zły wiersz — prawda? Czas iść, bo jeszcze pańska żona, panie doktorze, będzie zazdrosną. Ale mam do pana jedną prośbę — nie odmówi mi pan — dobrze?

Przyrzekłem, chcąc się jej już pozbyć.

— Niech mi pan da trochę emetyku. Jak tej strawy nie zniosę dłużej, to zażyję sobie po proszku i może mi to ulży. Jak pan sądzi?

Odparłem naturalnie, że przy niestrawności rycyna i emetyk są jedynymi środkami. Dałem jej też jednego i drugiego. Moja szalona pacjentka schowała lekarstwo starannie w zanadrze i miała się już ku wyjściu.

Wstrzymałem ją jeszcze na chwilę i zapytałem, skorom dał jej lekarstwo — tak jak każe instrukcja — o nazwisko i adres.

Spojrzała na mnie zdziwiona.

— Doprawdy, pan mnie nie poznał?

— Nie mam przyjemności znać pani — odparłem oszołomiony.

— Jestem Poezya Polska, niezamężna, zamieszkała, a raczej zazdrośnie więziona przy ulicy Pańskiej l. 11. A o wiek nie pytaj, bo nie odpowiem.

I znikła.

Tu kończą się moje ścisłe i pewne wrażenia. Resztę mogę ci opowiedzieć tylko według tego, co mi koledzy mówili, skoro powrócili z furgonem. Jak oni twierdzą, mieli mię znaleźć uspionego na ziemi, koło tapczanu; w książce zaś wizyt zapisaną była moja pacjentka tak jak mi się przedstawiła, z podaniem choroby: wycieńczenie z niestrawności i niedokrewność. Kartę tę wydarli z obawy przed Wicherkiewiczem, zwymyślawszy mię od lunatyków; ty wiesz dobrze, że to jest nieprawda. I wierzaj mi, to wszystko, com ci opowiedział jest prawdą, a nie snem nikłym — mógłbym pod przysięgą ręczyć za to. Ale Bogiem a prawdą nie rozumiem trochę całego tego zdarzenia.

---

Lwi pazur. (List z Warszawy).

(*Andrzej Niemojowski*). Warszawa czasem drgnie i pokaże lwi pazur. Chowa go zazwyczaj głęboko w rękawicy rautów, balów i tym podobnych futerałów, którym na imię „nateżone życie towarzyskie“. Ale swoją drogą drgnie czasem i pazur ów pokaże. Pokazała go dnia 24 grudnia, kiedy w wymownem milczeniu tłumy patrzyły na opadające zasłony ze spiżowego oblicza wieszczka. I wieszcz ten stoi z ręką na sercu i z niemych jego ust płynie głos ustawiczny na ulice, na domy, na ludzkie tłumy. Głos ten ciągle mówi i ciągle coś mówi.

Niedawno byłem świadkiem takiej sceny. Na podwórzu kamienicy bawią się dzieci w publiczność, pomnik Mickiewicza i w stójkowego.

— Ty, brachu, będziesz „stojący“. A ty, brachu, będziesz pomnikiem. My reszta będziemy przechodzić i rzucać kwiaty — a ty, brachu, łap nas!

I to był lwi pazur.

Ale Warszawa jest także lwicą, więc musi od czasu do czasu pokazać także pazur „lwicy“. Wyciągnęła go do Paderewskiego w słodkim omdleniu.

Przed tyłu a tyłu laty wyciągnęła również do niego pazurki, ale po to tylko, aby mu pokazać figę. Tymczasem przed Mistrzem Tonów przybyła Sława Europejska, chrestna mama z Warszawy, oraz Europejski Rozgłos, rzeczywisty tajny radca miasta Warszawy z przyległościami. Zanim Mistrz Tonów uderzył potężną ręką w fortepian, już Warszawa, niepamiętna dawnych a raczej niedawnych czasów, poczęła mdleć i spazmować rozkosznie. Posypały się tytułem zaliczki „albumy“, „adresy“, sprowadzono całe ogrody kwiatów, odarto połowę dębów z liścia i grano w bilety na koncert jak w ruletę. Mistrz przybył i zagrał. Wody na Wiśle wezbrały od łez, zima odtajała od gorących westchnień, kilka kamienie obruszyło się od drgania fal powietrznych, spowodowanego burzami oklasków. A Mistrz, wymagłowany walcami uznania i zachwytów, odjeżdżał może z ironicznym uśmiechem na twarzy. Kto słuchał jego muzyki? Kto wniknął w nią? Warszawa umie tylko zarzucać błotem lub kwiatami. Ale czy umie słu cha ć?

W gmachu przy ulicy Karowej Kossak i Fałat rozpięli przed kilku miesiącami wspaniałą „Berezyne“. Rzeka publiczności wlewa się wciąż jednemi schodami, okręca dokoła podjum i zlewa schodami drugimi. Ale rzeka ta rozdziela się na dwa prądy. Każdy z tych prądów szmerze po swojemu i jest zadowolony.

Jeden prąd szmerze:

— Ot, potęga ducha naszego! Ot, lwi pazur polaka! Nie zginie naród, który takie dzieła wydaje!

A drugi prąd szmerze:

— Wot, szto my sdięłali s Napoljonom! Wot i „pazur“!

Bo z dzieła sztuki każdy wybiera sobie to, co mu na razie dogodnie. W każdym razie Fałat i Kossak pokazali także lwie pazury.

Teatr Rozmaitości pokazał także lwi pazur. Zawział się i pokazał. Wystawił „Dzwon zatopiony“ Hauptmana i oszołomił wszystkich. Bo zaiste, jest to coś niebywałego, aby trupa tak zmanierowana mogła się zdobyć na takie odegranie europejskiego arcydzieła. Publiczność pochowała swoje pazurki i słucha z rozchylnemi z zachwytu ustami. Krytyka nie wie jeszcze, co powiedzieć; zależeć to będzie od tego, czy „Dzwon“ się utrzyma na repertuarze, czy nie. Ale utrzyma się niezawodnie. Wielkość umie porwać.

Przedtem jeszcze, nim się Teatr Rozmaitości zrehabilitował tak wspaniale wystawieniem dzieła Hauptmanowskiego, pokazał znowu Śliwicki lwi pazur. Zawział się i pokazał. Wystawił w teatrze amatorskim „Dziką kaczkę“ Ibsena i dalibóg zadziwił wszystkich. Pokazało się, że posiadamy przede wszystkim pomiędzy mało znanymi amatorami znakomitych aktorów, że są to ludzie inteligentni, rozumiejący Ibsena i umysłowo przygotowani do grania jego dzieł. I doprawdy stała się rzecz niebywała w dziejach teatrów amatorskich. Grano „Kaczkę“ przez trzy

niedziele z rzędu a teraz będą ją niebawem grali po raz czwarty. A czy przypominacie sobie z przed kilku lat urągania krytyki, że nie dla nas repertuar poważny? Śliwicki pogroził lwim pazurem i publiczność ruszyła do teatru.

A wczoraj ruszyła znowu na jednoaktówkę Rydla „Z dobrego serca“! Jakie to piękne to „Z dobrego serca“. Rydel jest dzielnym artystą i życzymy mu, aby więcej takich szlachetnych pasm myśli i uczucia wysnuł ze swej duszy. A amatorzy Łącki i Wilczyński pokazali także lwie pazury. Zdawało się, że to nie aktorzy, ale ludzie, żywi ludzie! Żali to zapowiedź jakiegoś warszawskiego „Wolnego Teatru“? Oby tak było! Mniemamy, że wobec istniejących trudności, wobec „różnych pazurów“ tylko dzięki jakiejś przyszłej „Wolnej scenie“ może rozwinąć się literatura dramatyczna u nas.

Jeszcze coś o pazurkach lwic.

Liczne towarzystwo wraca z „Dzwonu“.

— Cóż pan na to? pyta jedna z lwic.

— A ja na to — odpowiada jakiś ryś — że wprowadzie „Dzwon“ przepiękny, ale silniej do mnie przemawia „Balladyna“ i wolałbym ją był widzieć na scenie.

— Panie! Szowinizm!

— Nie, tylko że z „Dzwonem“ łączy mnie kultura a z „Balladyną“ także węzły krwi. Przytem taką „baśń“ mieliśmy już przed czterdziestu laty...

— Pan ośmiela się zestawić „Balladynę“ z „Dzwonem“??

— Czy pani jest polką?

— Nawet patriotką...

— Zgoda. A kiedy pani czytała po raz ostatni „Balladynę“?

— Kiedy?? Przed czterema, czy pięcioma laty...

— Ile razy pani ją wtedy przeczytała?

— No, raz...

— A przedtem?

— Przedtem nie czytałam...

— I to mówi patriotka?? I na takim „czytaniu“ opiera pani sądy o naszej twórczości? Ale prawda! Ktoś słusznie powiedział, że polacy są niewdzięcznym narodem... oh, niewdzięcznym...

Błogosławionyś, Hauptmanie, u nas, boś cudzoziemiec! Biada ci, gdybyś był polakiem! Wtedy rękami naszymi dźwigałibyśmy całe błoto, na jakie zdobywają się ulice nasze, aby bryznąć niem w twarz twoją! Wyłamałibyśmy wszystkie kamienie z bruków, aby ciebie niemi obrzucić!

Być w Polsce artystą, to nie znaczy nawet tyle, ile być dyrektorem gimnazjum, szefem biura, członkiem towarzystwa lekarskiego i t. p.

Ale to znaczy być przybitym do krzyża i dać się męczyć przez współczesnych dla jakichś przyszłych pokoleń.

Warszawa rozpina każdego Prometeja swego na ścianie małostkowej zawiści i lwim szponem wyszarpuje mu codziennie wątrobę...

Dlatego też prawie każdy Prometej polski ucieka z Warszawy, aby nie zmaleć. Jeżeli nie może uciec gdzie dalej, kryje się bodaj w swej pustelni domowej i przez lata całe żyje w osamotnieniu.

List ze Lwowa. (Lwów, w marcu).

(x) — Proszę panów, pocóż poruszać umysły?

Taką uwagę uczynił nasz *lordmajor* deputatowi, który przyszedł prosić o użyczenie sal szkół ludowych na wykłady „Uniwersytetu ludowego“. Nie dodał, ale łatwo już dośpiewać sobie w duszy pieśń, popularną jeszcze przed 60 laty: *Denn Ruhe ist die erste Buergerpflicht*. I pocóż poruszać umysły?

Wniosłe te idee brzmiały mi jeszcze w uszach, paraliżowały nerwy, mak sypały na mózgownicę, gdy otrzymałem Wasz prospekt i wezwanie Wasze. „Krytyka“?! Wszelki duch... gwałtu... ależ sam już tytuł świadczy o chęci niepokojenia umysłów, o zamącaniu „pierwszego obowiązku obywatelskiego“, o... Czyście się zastanawiali, szanowni państwo, czego właściwie chcecie? Nie mniej — nie więcej — jak tylko, aby ludzie na głowach stawali! A to dalibóg niezdrowe, a co najważniejsza — nieprzyzwoite! Na głowach, proszę! Człowiek ma nóg dwie, głowę zaś jedną, a jak chce, by mu w Galicyi szło dobrze — to nie ma żadnej, a wy żądacie, aby na tej głowie stawał. Czyż nie lepiej u nas pełzać na brzuchu, jako wąż mądry, którego Pismo św. naśladować każe, lub kultywować plecy, niż apelować do tej głowy?

Nie głupim. Wiem aż nadto dobrze, do czego grzech pierworodny „Krytyka“ — prowadzi. Do wygnania z raj, proszę państwa. Lwów nie jest wprawdzie rajem, choć w nim, jak w owym mitycznym panuje golizna, ale zawsze to niezła „karczma“, jak Lam mawiał. Pełno tu ruchu, sensacyj. I miałbym ztąd zostać wygnanym sromotnie, jakby jeden z tych, którzy w pierwszych dniach runu przychodzili po swoje pieniądze do Kasy oszczędności lub G. B. K.? A nie myślcie, że ze mnie tylko strachajło przemawia. Kilkanaście miesięcy temu przyjechałem tutaj, otrząsnąwszy z mych sandałów kurz z pod Wawelu, a z serca — wszystkie ambicje utlenienia krwi i napełnienia żołądków Galicyan. Zaledwie rozkwaterowałem się w nowej rezydencji, aliści do mego gospodarza zaczęli zachodzić aniołowie stróżowie, mający zamiast gwiazdek na czole — orzełki za klapę surduta, i nuż kłaść mu w głowę: kto zacz ten nowy lokator — jakie prowadzi życie — kto u niego bywa etc. etc.

Na szczęście jestem obywatelem piątej kuryi, płacę takse wojskową i podatki pośrednie, więc w poczuciu mej godności obywatelskiej zdobyłem się na czyn, który szef owych aniołów stróżów na długo popamięta. Ale czy to rzecz przyjemna? W tych dniach zastanawiało się kółko społeczników nad wyborem zarządu pewnej instytucji kulturalnej, z polityką nic wspólnego nie mającej. Zaofiarowaliśmy mandaty kilku „obcym żywiołom“, t. j. Polakom — obcopoddanym. Każdy odpowiadał: panie, nie możemy przyjąć; mamy w kieszeni nakaz opuszczenia Galicyi w ciągu 48 godzin, i tylko z łaski jesteście tu tolerowani... Musimy więc siedzieć cicho jak myszy.

I w tych warunkach macie odwagę niepokoić umysły, wyrzec niebezpieczne słowo: krytyka!?

Uroczyste zakładam *veto*. A co do mnie — w żadne krytyki absolutnie bawić się nie będę. Tembardziej, że teraz we Lwowie nie ma nawet co krytykować, a jeżeli jest co — czyni to prokurator. Społe-



czeństwo samo chce tego; jest logika rzeczy: gdzie krytyka obywatelska niedopuszczona — zastąpi ją oskarżyciel państwowy prędzej czy później.

Tymczasem zaś panuje porządek, tj. spokój. W ostatnich dniach odkryto tylko trzy defraudacyjki (w Tow. kredyt. ziemskim, w Tow. oficyalistów prywatnych i w Zakładzie dla ociemniałych (na 28.000 złr.) — te jednak nie robią już wrażenia. Co mi to za defraudacje, gdzie chodzi o marne tylko tysiączki. To drobnostki! Zresztą od sześciu dni nie runął jeszcze żaden bank, ni żadna kasa publiczna. A nie jest to rzecz tak bardzo naturalna; Lwów stanie się bowiem niebawem sławniejszy niż Piza. Tam tylko jedna jest wieża pochyła, a u nas... U nas instytucje pocieszają się, jak ów człowiek, który spadł z czwartego piętra. Gdy lecąc znalazł się na wysokości trzeciego, zapytał go ktoś z balkonu, jak się ma. „Jak dotąd, chwała Bogu, nieźle — odpowiedział. — Oby tylko tak szło dalej!“ I zachwiane instytucje nasze mają się „jak dotąd — nieźle“, ale co potem? Potem następuje trzask o bruk — masy jednostek, rodzin, honorów, następuje zamiast bilansu — kartka wydarta lub kula rewolwerowa, następuje krach kłamstw, uświęconych tradycją i błogosławieństwem wszystkich arcykapłanów blagi publicznej, następuje bankructwo systemów, które jak polipy były rozgałęzione na całym obszarze życia „obywatelskiego“. Zaczyna się wielki obrachunek, lawina toczy się i druzgocze z siłą elementarną, bez świadomości, co ciekawsze — nie rozjaśniając nawet świadomości tych, około których przelatuje. Ostatnie znamię jest już czysto naszym, galicyjskiem. Gdzież na świecie znajdzie się jeszcze publiczność, któraby tak bezmyślnie przyjmowała zdarzenia historyczne pierwszorzędnej wagi, jak te, których jesteśmy świadkami? St. Tarnowski konstatuje z bolem, że w Kasie oszczędności zbankrutowali „liberali“, hr. Badeni bił mu w sejmie brawo, a nikt w oczy im nie powiada: augury. Nikt im nie powiada, że w kasie zasiadał zawsze duch Badeniego, komisarz namiestnictwa, i że wobec niego znikły wszelkie garby zasad, pozostała tylko płaszczyzna wyciągniętych karków, po której Wszechmocny chodził i deptał dowoli. W banku kredytowym (Marchwickiego) to samo... Któż więc zbankrutował, kto tkął owe węzły i oczka sieci intryg, kłamstw, fałszerstw, sprzeniewierzeń, korupcyi, w którą złowiono też kilku słabych marzycieli, i którą obecnie do ostatniej nitki powinni rozplątać prokuratorzy? System zbankrutował i długoletni reprezentanci tego systemu, — a nikt nie ma odwagi to głośno wypowiedzieć. I jest w tem tragiczna kara naszych „demokratów“; podwójnie pokutują obecnie za brak charakterów. Bo w innych warunkach byliby on tą rezerwą, która teraz powinnaby się wysunąć i zająć wszystkie stanowiska po ludziach skompromitowanych. System ów wyrządził więc szkodę większą, niż wynoszą owe „dubiosa“ bankowe; skorumpował na całej linii charaktery, i teraz niewiadomo, kto go może zastąpić. Będzie prawdopodobnie to samo, co z glistą, dżdżownicą; odcina się pewną część — reszta dalej żyje spokojnie.

Za to system ów święci obecnie tryumfy polityczne. Proces Stojałowskiego udowodnił, że „idea słowiańska“, ów spadek po hr. Badenim, natrafia u nas na grunt bardzo podatny. Ks. Stojałowski był bohaterem — i nie myślcie, że „smutnym“, potępianym, znieawidzonym. Jako żywo — nie. Gdyby przed dziesięciu laty ktoś się był publicznie przyznał do

autorstwa korespondencyj w „Warsz. Dniwniku“, „Now. Wrem.“ etc. — Lwowianie byliby mu „lynch“ sprawili. Teraz trudno opisać apatyę i obojętność, z jaką publiczność tutejsza przyjmowała przebieg procesu. Sala sądowa nie miała w ostatnich dniach ani w połowie tyłu słuchaczy, co np. podczas procesu „jenerała weteranów“. Chodziła na rozprawy garść radykałów; gdyby ktoś był wysadził w powietrze ową salę, byłby zniszczył cały radykalizm galicyjski. Wielkie nasze dzienniki nie uważały za potrzebne nad przebiegiem procesu bodaj w jeduym artykule się zastanowić; gdyby były szczere, musiałyby oddać opinię wielu, bardzo wielu abonentów twoich: kto wie... zdaje się, że ten Stojałowski ma rację. W Rosyi, panie dobrodzieju, to wszystko, co się u nas dzieje, nie byłoby możliwem. Zresztą... idea słowiańska, panie dobrodzieju...

Prawda... w Warszawie rząd wydała z uniwersytetu młodzież. A co się u nas dzieje z technikami, z uczniami tutejszej szkoły realnej lub gimnazjum stryjskiego, których postępowanie „światłodawców“ doprowadza do desperacyi, do strejku? Prawda... Rosya — to niewola. A u nas — wspomniałem na początku o owych aniołach stróżach, tudzież o groźbach wydalenia...

Zaiste, system panujący chce ks. Stojałowskiemu zgotować większe tryumfy, niż sam mógł się spodziewać. A przy tem wszystkim mogę donosić ze Lwowa, że panuje porządek, absolutny spokój.

Trochę gwaru i zamieszania wywołał powstały u nas przed miesiącem Uniwersytet ludowy im. Mickiewicza. O instytucyi tej napiszę obszerniej, po zebraniu sumy spostrzeżeń i doświadczeń z zamknięcia pierwszego kursu nauk. Dwa lata temu „Dziennik krakowski“ rzucił był myśl uczczenia setnej rocznicy narodzin Adama założeniem „University-Extension“ na wzór zagranicznych. U nas inicjatywę praktyczną wzięło w swoje ręce „Zjednoczenie“ i od kwartału operuje już towarzystwo na podstawie statutu, dającego możność działania w całej Galicyi, Bukowinie i na Ślązku. Komitet założycieli, pod przewodnictwem dra Gorzyckiego, przystąpił do pracy systematycznie i wytrwale. Postanowiwszy, że plan naukowy ma objąć grupę nauk przyrodniczą, społeczną i humanistyczną, powierzył zorganizowanie pierwszej p. Koskowskiemu, drugiej p. Popławskiemu, trzeciej p. Feldmanowi. Program przedstawia się okazale. Objęli wykłady: anatomii — dr Świeżawski, fizyologii — dr Moraczewski, botaniki — prof. Ciesielski, astronomii i geologii — inż. Libański, antropologii — prof. Dybowski, chemii — dr Niemczycki, fizyki — dr H. Diamand, higieny — Koskowski, o pierwszej pomocy — dr Ruff etc.; w grupie drugiej: ludoznawstwa — dr Gorzycki, historii — Gorzycki i Hankiewicz, ekonomii — dr Perl i Poznański, statystyki Galicyi — inż. Moraczewski; w trzeciej: psychologii — Wł. Kozłowski, historii sztuki — prof. Lityński, literatury polskiej i obcej — dr Moraczewski, Zdzisław Dębicki, Feldman itd. Jeszcze okazalej przedstawia się rzecz w praktyce. Mimo ceny wstępu po 5 cent. od osoby, mimo mnóstwa przeszkód, o których poniżej — wykłady te, odbywające się prawie codziennie, gromadzą tygodniowo po przeszło 700 słuchaczy; między tymi jest przeszło 50% robotników. Reszta słuchaczy pochodzi z klas średnich i studentów, dla których owe wykłady są bardzo pożądanem odświeżaniem i uzupełnieniem wiedzy.

Nie wiem doprawdy, czy zaszkodziły, czy pomogły przeciwności, o których wspomniałem. W początkach zwały się one masą tak gnio-  
tącą, że zdawało się, iż kiełkująca instytucja pod ciężarem padnie. Wniesiona do rąk prezydenta miasta, jako przewod. Rady szkolnej  
okręgowej, prośba o użyczenie na wykłady sal szkół ludowych — dotąd  
pozostała bez skutku. Sale, stojące otworem dla każdego zgroma-  
dzenia, dla popisów każdego frazesowicza, zostały „na razie“ odmó-  
wione; p. dr. Małachowski nie chce sam niepokoić umysłów i odesłał  
rzecz — bez potrzeby prawnej — do dra Bobrzyńskiego. Ministrowi  
oświaty galicyjskiej wcale jednak nie spieszo. Jak życzliwie jest uspo-  
sobiony dla nowej instytucji, czuli w pierwszym rządzie bezpośredni jego  
podwładni, profesorzy szkół średnich. Kilku z nich przyrzekło było objąć  
wykłady — a po pewnym czasie jeden po drugim zaczął się wymawiać.  
W ostatniej chwili dowiaduję się, że we wszystkich tutejszych szkołach  
średnich wydano uczniom surowy zakaz uczęszczania na wykłady Uni-  
wersytetu ludowego. Jestto prowokacja niczem nieusprawiedliwiona.  
Winą Uniwersytetu jest tylko, że nie chce być filią wojującej „Czytelni  
katolickiej, jak jest nią rada szkolna p. Bobrzyńskiego. Nie udowodniono  
ani razu, jakoby wykłady przekraczały zakres ściśle naukowy, a że  
zarząd nie jest sekciarskim, dał chyba dostateczny dowód, zapraszając  
do objęcia wykładów ludzi nawet konserwatywnych przekonań polity-  
cznych, byle mających kwalifikacje naukowe. Mamy więc zwyczajną  
kampanię przeciw światłu... a ta skutku nie odniesie, oto jesteśmy spokojni.

Najwspanialej popisała się tutejsza prasa. Dzienniki klerykalne:  
*Ruch katolicki*, *Gazeta narodowa*, *Przegląd*, rozpoczęły przeciw uni-  
wersytetowi kampanię zaraz po założeniu — i tę można zrozumieć; pu-  
hacze i nietoperze będą zawsze uważać za rewolucjonistę, ateusza etc.  
każdego, co niesie światło. Nie można jednak zrozumieć, jak nawpół  
przyzwoite pismo może pozwalać na wypisywanie takich bredni i oszczerstw,  
jakie w *Przeglądzie* szerzy niejaki p. Gajewski. Świadczy to zresztą  
tylko o bezsilnej wściekłości. Natomiast ani jeden z dzienników t. zw.  
postępowych nie uważał za stosowne uniwersytetowi poświęcić trochę sym-  
patyi. *Kuryer lwowski* unosi się, że gdzieś w Niemczech odbywają się kon-  
certa ludowe — a rzadko umieszcza bodaj suchy komunikat o mających  
się odbyć wykładach. *Słowo polskie* opisuje długo i szeroko „turniej  
szermierzy“ — dla Uniwersytetu nie znalazło od siebie ani jednego ży-  
czliwego słowa. Gdy jeden z obywateli złożył na ręce p. Feldmana dla  
Uniwersytetu dar w kwocie 100 złr., nie chciało ż a d n e pismo umieścić  
podziękowania dla ofiarodawcy, aby broń Boże zły przykład nie znalazł  
naśladowców. Bo... *Ruhe ist die erste Buergerpflicht*.

Zapóźno jednak na to hasło — zapóźno. Umysły budzą się na  
coraz większych i dalszych obszarach. Sympatyczne echa dochodzą z pro-  
wincyi. „Komitety miejscowe“ nowego stowarzyszenia powstają w Kra-  
kowie, Stanisławowie, Przemyślu, Kołomyi, gdzie wykłady rozpoczął już  
niestrudzony inż. Libański. Duchowi przodownicy narodu wyrazili żywą  
solidarność: Orzeszkowa, Prus, Chmielowski przyrzekli na rzecz uniwer-  
sytetu wykłady.

I staje się światło...



## Krachy i szwindle.

(Ż) Dwa te cudzoziemskie słowa, które w ostatnich latach stały się bardzo swojskimi w Galicyi, zdają się być na zewnątrz godłem gospodarki finansowej tego kraju. Powtarzamy: gospodarki finansowej nie jednostek, ale całego systemu. Ci wszyscy, co od roku trzymają w wiecznym strachu konserwatywną, a niestety także i liberalno-mieszcząską opinię, kradnąc, uciekając, trując się, strzelając sobie w łeb itd., to z pewnością nie jednostki o wygórowanej zbrodniczości. Jest między nimi kilka prawdziwych typów zbrodniarzy, ale ci żyją jeszcze wcale wygodnie i zastrzelą się może jutro, może pojutrze, a może umrą w łóżku i do grobu ich poniosą jako „podpory społeczeństwa“. Natomiast nikt nie mógłby nazwać posła „pięknego Wiktora“ zbrodniarzem, pomimo, że, jak to mówią, zarwał ludzi na grube sumy.

Dzisiaj nie chcemy rozbierać szczegółowo każdej defraudacyi, oszustwa i lichwy, jakie wyszły na jaw wśród najróżniejszych zresztą instytucyi finansowych, lub „dygnitarskich“ jednostek; zrobi to za nas historia.

Ale kilka ogólnych cech podnieść przecież już dziś należy.

Pierwszem pytaniem, które sobie naiwni i uczciwi ludzie w takich nieszczęśliwych „wypadkach“ zadają, jest: „Na co ten człowiek potrzebował tyle pieniędzy?!“ Otóż pytanie to nie jest znów tak trudnem do rozwiązania. Sfery bankowe katolickie są u nas w bardzo ścisłej styczności z naszą magnateryą szlachecką. Powoli, ale stale zlewały się te dwie warstewki ze sobą w coś łącznego i spólnego. Stopa życiowa tutaj nie tylko wysoko postawiona jest przez magnateryą, ale wprowadzano nadto ze strony owych dyrektorów banku, „wysokich“ pośredników itd. luksus zachodnio-europejski, wymagający, jak wiadomo, nie takich nędznych sum, jakie mieszczą się w kasach naszych banków, ale milionów, prawdziwych milionów, tak jak w Anglii lub Francyi. Cóż dziwnego, że się defrauduje, oszukuje, fałszuje weksle, grabi lichwą itd, chociaż się ma — jak na Galicyą — wspaniałe pensye i zarobki. Donoszą nam o adwokacie, który zarabiał, oficjalnie niejako, do 40.000 złr. i wydawał je corocznie, chociaż był starym kawalerem. Jest to dochód od miliona z górą złr. A przecież musiał się zastrzelić. Inny znów dygnitarz uchodził słusznie za milionera, a jednak pewnego popołudnia zastrzelił się, zostawiając tylko długi i takie papiery, które rodzinę do rozpacz doprowadziły. Każdy z nich wydawał dochody z milionów i jeszcze było mało i ciasno... I pomyśleć, że ci sami ludzie prawili nędzarzom, chłopom i robotnikom galicyjskim kazania o oszczędności, jako o cnocie, której brak jest przyczyną nędzy kartoflarzy galicyjskich!

Małżeństwo lekkomyślnego ducha szlacheckiego z drapieżną lichwą wydało ohydne owoce i to nie tylko u góry warstwy, ale i w jej środku. Ten sam nastrój zbytku i chciwości panuje u mniejszych bankowiczów różnego gatunku. Widzieliśmy i takich, co defraudują stale i systematycznie aby dopełnić swoich prawych zarobków do sumy, oznaczającej ich „standard of life“; formalny „zawód“ defraudantów i oszustów zaczął się wytwarzać w naszym kraju, jako skutek słabego rozwoju ekonomicznego. To jedna cecha.

Drugą, również ogólną, — jest *mecenasowanie* wysokiej szlachty we wszystkich instytucjach publicznych Galicyi. Lada szlachetka z książęcym lub hrabiowskim tytułem, człowiek który tracić tylko umie (bo tego się uczył), ale nie więcej, zostaje takim lub owakim patronem, „moralnym kierownikiem“, prezesem, członkiem rady nadzorczej itp. Dziedzicznie ma on słaby bardzo mózg i wstręt do rachunków, nie zna się na niczem, a jednak deputacye mieszczan, księży, rękodzielników błagają go, żeby przyjął protektorat, lub prezesostwo.

Koło takiego „imienia“, a raczej w jego cieniu wije sobie wnet gniazdo jakiś zdeklasowany szkodnik, lub mieszczański awanturnik z tęgim łbem oszusta i ze zdrowym żołądkiem wygłodzonego człowieka i zaczyna się chrupanie kości biedaków w przeróżnych „interesach“, aż się nie skończy w kryminale.

A raczej — powiedzmy szczerze, żeśmy przesadzili... Takie „afery“ u nas prawie nigdy się w kryminale nie kończą. Tak niezręcznymi mogą być tylko żydzi lub ubodzy ludzie; ci wielcy, ci co w cieniu książęcych „imion“ kradli, są zazwyczaj znakomitymi meteorologami... Wiedzą doskonale zkąd i kiedy może przyjść burza z gromami i wówczas szybko zmieniają klimat, uciekając do Węgier, Rumunii, Egiptu lub do starego schroniska dla „poszukiwaczy złota“ — do Ameryki. Potem zaś już „książę pan“, lub inny protektor, albo zapłaci (jeżeli suma była mniejsza), albo każe „swoim“ gazetom tak dziwnie i moralnie pisać o całej sprawie, że mózg przeciętnego obywatela galicyjskiego poprostu „baranieje“. „Raz, dwa, trzy — były pieniądze, nie ma pieniędzy; był złodziej, nie ma złodzieja — będzie znowu złodziej“. A moralność, a naród, a kraj, a samorząd, a rząd germańsko-centralistyczny latają potem w atmosferze galicyjskiej jak szmermele, puszczane dla oślepienia i otumanienia prostaczków. Przytem o ile mamy takich hrabiów, co narodowi „wstyd“ robią, o tyle jesteśmy w szczęśliwym posiadaniu i takich, co ten „wstyd“ w skargowskich, czy jeremiaszowskich (ale zawsze stylowych) mowach piętnują publicznie. Jedni jednak i drudzy podzielili się tylko rolami, bo w gruncie rzeczy pozostają solidarnymi ze sobą i ci i tamci.

Mamy niemal pewność, że rubryka ta jeszcze długo będzie stałą w naszej prasie, nie chcemy przeto w dzisiejszej notatce czynić dalszych uogólnień i oby tylko kasy wytrzymały tak długo konsekwentną „działalność żywiołów porządku, czcicieli tradycyi i podpór społeczeństwa.

---

#### Przegląd teatralny.<sup>1)</sup>

(G). „*W sieci*“. (*Wesoły dramat*). *J. A. Kisielewskiego*. Oceniając utwory sceniczne, krytyka powiada, że są dobre lub złe, że pisane są z wielkim talentem lub bez talentu, że pozwalają wreszcie wniosko-

---

<sup>1)</sup> Wprowadzając stałą rubrykę teatralną mamy zamiar śledzić w niej przede wszystkim rozwój naszej literatury dramatycznej. Niwa ta do niedawna tak uboga, przyciąga dziś ku sobie coraz więcej sił. Postanawiamy tu omawiać wyłącznie utwory oryginalne i ufamy, że staranna dyrekcyja naszego teatru dbać będzie i nadal o to, aby nie zbrakło nam materiału. *Red.*

wać o talencie, który zapowiada się w jakichś poszczególnych błyskach, lecz nie jest jeszcze drogi i celu pewny itd. Powiada też, że dany utwór jest sam w sobie dobry, że jednak nie uwypukla się na scenie, albo też że jest liche, lecz za to bardzo sceniczny...

Tę mniej więcej miarę przykładu zazwyczaj krytyka do produkcji scenicznej.

Jest to wszakże zbyt mała i zbyt ciasna miara dla dramatu p. Kisielewskiego. Nie powiedzielibyśmy nic zgoła, orzekając, że jest to dramat „dobry“ lub nawet „bardzo dobry“, że „napisany“ jest z wielkim talentem, że ma zalety lub wady sceniczne.

Wszystkie te utarte i dobre nawet etykiety naklejone na dramat p. Kisielewskiego nie mogą doń przyłgnąć, są zupełnie martwe, odska-kują odeń o tysiąc staj, niezdolne bowiem są pochwycić i nakryć tego, co jest nerwem i krwią dramatu „*W sieci*“.

W dramacie tym kipi taka wielka, szeroka, rozlewna fala życia, iż zdawaćby się mogło, że chwilami niema tamy, któraby ją powstrzymać zdołała i łożyska, w którymby się do spokojnego chciała ułożyć biegu. Życie wdziera się na tę małą, małą scenę każdą szparką, każdą szczeliną, wre, huczy, pieni się, to znów cichnie, milczy nawet, płacze, śpiewa i znowu huczy — zwyczajnie życie.

I nie jest to „napisane“. Jest to rzut — szalony rzut żywiołu, który nie pyta, czy na danej przestrzeni będzie dlań miejsce, czy też nie. Pędzi, szaleje, kłębi się tysiącem wirów i jest, siłą biorąc sobie miejsce, którego nie było.

Na scenie niema zazwyczaj miejsca dla utworów, których słuchać trzeba przez 5 godzin. W jednym dramacie niema zazwyczaj miejsca na kilka jeszcze innych dramatów. P. Kisielewski złamał te prawidła i wbrew wszelkim przyjętym i koniecznym poniekąd zasadom, stworzył dla siebie nową konieczność, którą publiczność w pokorze ducha i w czołobitnem uznaniu przyjąć musiała.

Tego nie dokonałby tylko „talent“. Jest to coś więcej, i dużo, dużo więcej.

Z tego nadmiaru siły twórczej p. Kisielewskiego powstały niektóre wady jego utworu. I tych wszakże wad scenicznych oceniać zwyczajnie niepodobna. Na 100 sztuk wystawianych 99 ginie i umiera z powodu braku krwi, z powodu suchotniczego poprostu ubóstwa treści, podpieranego mniej lub więcej zręczną fakturą. P. Kisielewski zaś popełnił błędy z nadmiaru tego, co miał do powiedzenia. Te więc błędy nawet — o ile są nimi w stosunku do praw i wymagań sceny — jeszcze są zaletą, o ile ustawimy je w stosunku do indywidualności twórczej, jako takiej, o ile przez pryzmat ich cech patrzeć będziemy na żywiołową potęgę za nimi ukrytą.

Reymont, jako powieściopisarz popełnia te same błędy, których dopuścił się p. Kisielewski. I on nie wie co począć z nagromadzonem w sobie bogactwem, rzuca tedy niem hojną ręką tak, że zdawaćby się mogło, iż niewyczerpaną jest ta żyła złota, z której czerpie. Tylko, że podczas gdy Reymont nieraz zatraca z oka całokształt struktury artystycznej i jej proporcje, p. Kisielewski zachowuje wszędzie logikę wza-

jemnego stosunku ludzi i epizodów i tym jeszcze rysem zapowiada się jako niepospolity artysta.

„Szalona Julka“ jest z rodziny Janki Orłowskiej. Jest w sieci życia, tego życia płytkiego, małego, obliczonego na t. zw. szczęście kilkudziesięciu spokojnie spędzonych lat, i w tej sieci, zesnutej z tysiąca marnych nitek, spojonej dobrocią, miłością, nawyknięciami i etyką filistrów wikła się, kurczy i ginie.

Dramat p. Kisielewskiego wyjdzie wkrótce w wydaniu książkowym. Wtedy zajmiemy się nim obszerniej i postaramy się ocenić należycie środowisko, na którym zbudował p. Kisielewski swój dramat, typy, które przedstawił i artyzm, z jakim ten obraz z życia w nowe życie rzucił.

Sztuka była grana znakomicie. Takiej całości mogłaby pozazdrościć Krakowowi każda wielka scena europejska. Na pierwszy plan wysunęli się p. Siemaszkowa i p. Solski. Gra obojga była uczcą artystyczną. P. Siemaszkowa grała poprostu genialnie i niedość powiedzieć: grała. Żyła życiem „szalonej Julki“ i stworzyła postać sceniczną, której nic w pamięci nie zatrze. Jeżeli powiemy, że tą kreacją p. Siemaszkowa wzniosła się na najwynioślejsze wyżyny sztuki, powiemy nie za wiele.

Dnia 16. marca wystawioną była sztuka w 1 akcie Jana Stena p. t. „Trzy dusze“. Ponieważ p. Sten jest stałym współpracownikiem naszego pisma, uważamy za słusne wstrzymać się od pochwał, które musielibyśmy poczytać sobie za niesmaczne. Może tą, jedynie słuszną zdaniem naszym taktyką, uda nam się wpłynąć dodatnio na zwyczaje, panujące w krakowskich „biurach wzajemnej adoracji“.

„Na wyżyny“, „Kwiat pleśni“ i „Chłopską politykę“ pomijamy milczeniem. Rozwodzić się nad tymi badyłami, czy też „łodygami bezielennymi“, jak mówi p. Szukiewicz, nie warto.

(„Dla szczęścia“ sztuka St. Przybyszewskiego). Moc literacka p. Przybyszewskiego leży w tematach erotycznych, a mianowicie w psychologii burz, wstrząśnień i ekstaz miłosnej natury.

„O szczęście“ walczy Stefan Mlicki, postawiony między dwiema kobietami, z których jedna, Helena, panienska z „porządnego“ zamożnego domu, jest od dwóch lat jego kochanką, a z których druga, Olga — jest... Trudnoby powiedzieć, czym jest ta Olga. Pani Siennicka kazała nam wierzyć, że jest piękną i że ma zewnętrzny typ t. zw. demonicznych niewiast. Po zatem ma podobno posiadać zupełnie wyjątkowe przymiotu umysłu i temperamentu, o ile wierzyć będziemy Zdźarskiemu, który był podobno przyjacielem Stefana. Ten Zdźarski, zakochany w Oldze i doprowadzony przez jałową jej kokieteryę do rozpacz i moralnego znikczemnienia, postanawia zemstę i osnuwa ją na dwóch psychologicznych czynnikach: na sumieniu i na zazdrości.

Helena, jako zupełnie bierne medyum, poddaje się planowi Zdźarskiego i zabija się w chwili, kiedy Stefan ją opuszcza. Zdźarski dopełnia zemsty w ten sposób, że Oldze i Stefanowi przynosi wiadomość o śmierci Heleny i zwłoki jej — jako uzmysłowione sumienie — wnieść poleca do ich mieszkania. I sumienie krzyczy.

Czy ten człowiek zdolny jest męczyć się kiedykolwiek przeszłością Olgi?

Nie jest zdolny i nie był zdolny. Pan Przybyszewski zaś kazał nam się tego po nim spodziewać. W jedynym silnym ustępie dramatu, w scenie, gdzie Zdżarski rysuje wizyonerski i wstrząsający obraz mąk, jakie w pożyciu z Olgą czekają Stefana, w ustępie tym tkwi istotny dramat, którego p. Przybyszewski... nie napisał. Na podstawie własnych wynurzeń p. Przybyszewskiego na temat erotyki wogóle mamy prawo mniemać, że tylko ten punkt konfliktu psychologicznego pociągał go i dopraszał się formy dramatycznej. Tymczasem punkt ten ucieka mu z pod rąk, niknie i na scenie zostaje jak świat stare i jak zatracenie krzyczące sumienie.

Nie mamy nic przeciwko temu, aby sumienie wołało. Ale pamiętamy takie jego wołania, że „sumienie“ p. Przybyszewskiego nie robi na nas wrażenia.

Sztukę zaś uważamy z punktu widzenia ściśle artystycznego i psychologicznego za chybioną. Obie kobiety są szkicami do kobiet, Stefan — w życiu — nie byłby nigdy popadł w podobną matnię. Byłby się trzymał swojej Heleny i byłby się poddawał urokom Olgi niekoniecznie na drodze przez kościół uświęconej. Może p. Przybyszewski pomyślał go sobie innym, my wszakże widzieliśmy go na scenie takim, że wierzyć nam niepodobna, aby człowiek ten mógł utkwąć w dramacie. Jedyna artystyczna i prawdziwa postać sztuki — Zdżarski, postać doskonale wpływająca z rodzaju talentu p. Przybyszewskiego, jest użyta do roboty niepotrzebnej, która — jeżeli przypuścimy, że Stefan zdolny jest do stworzenia dramatu — byłaby się musiała do końca sama przez się.

„*Dziewiczy wieczór*“ G. Zapolskiej jest niezmiernie wdzięcznym i zgrabnym obrazkiem scenicznym. Nazwa „akwareli scenicznej“, którą autorka utworowi swemu nadała, nie jest tu pozą, ale doprawdy zupełnie ściśłem określeniem wrażenia, jakie ze sceny widz wynosi. Talent p. Zapolskiej raz jeszcze okazał, z jaką łatwością umie sobie nowych dróg szukać i na nich się poruszać.

g.



## PRASA NIELEGALNA,

Teraz Polska żyje, kwitnie w ziemi cieniach  
Jej dzieje w Syberyi, w twierdzach i podziemiach.

Żyjemy na przełomie, w epoce nieustannych przemian społecznych i politycznych: dokoła nas wszystko się przeobraża. Dość położyć rękę na pulsie ziemi, by wyczuć silne bicie zapowiadające niejedną burzę. Z chaosu tego wyjdzie kiedyś niewątpliwie stan nowy na innych zasadach oparty. Trudno wszakże wyobrazić sobie, że przyjdzie on w całkowitym rynsztunku bojowym i porozcina mieczem wszystkie kwestye i węzły; nadejście nowej epoki może być tylko ostatniem ogniwem w łańcuchu rozwiązań częściowych a także stadyum przejściowem dla dalszego rozwoju. Od należytego zrozumienia tego zawisły także losy proletaryatu polskiego. W tym też duchu pojęła zadanie swe Polska Partya Socjalistyczna, która zorganizowawszy celową działalność polityczną i społeczną rozwinęła ożywioną pracę, nietylko w kraju lecz i na emigracyi. Głównem jej narzędziem jest prasa. W myśl słów wieszczki naszego że: „polityką, działaniem nazywamy tylko czyny, albo słowa i myśli, które rodzą czyny“ — podjęła partya tę szeroką akcyę publicystyczną. Zważywszy niesłychanie trudne warunki bytu,



w jakich jej prasa żyć i rozwijać się może, należy z największym uznaniem podnieść wielkie zasługi tych niestrudzonych pracowników dla sprawy ogółu.

Oto treść kilku jej pism. „Przedświt“, miesięcznik wychodzący w Londynie, przynosi na wstępie w artykule p. t. „Tryumf lichwiarzy“ opis smutnych spraw finansowych Galicyi, jej ruiny ekonomicznej. Winę tego stanu rzeczy przypisuje autor w pierwszym rzędzie harmonijnemu sojuszowi „*haute finance*“ żydowskiej z najbardziej legitymistycznymi klerykałami, w celu zdyskredytowania „liberalizmu“ lwowskiego. — Idzie następnie dokładny opis wojny hiszpańsko-amerykańskiej oraz jej przyczyn społeczno-ekonomicznych; z dalszych artykułów tego pisma wspomnieć należy artykuł o „Zjeździe partii soc. zaboru austriackiego“, podający znane z kądinąd uchwały i obrady tegoż zjazdu. Wielce interesującym jest opis bastylli carskiej w artykule p. t. „Schlüsselburg“; składa się on z dwóch części, z których jedna zajmuje się głównie topografią więzienia i ilustrowaną jest rysunkami i planami, druga zaś dotyczy warunków życia więźniów. Nadto widzimy w numerze tym przegląd prasy francuskiej i rosyjskiej, korespondencye z Warszawy, z zaboru pruskiego i Galicyi, poświęcone różnym ważnym sprawom życia naszego w kraju. Zamyka numer krótka bibliografia.

Od roku wychodzi w Londynie kwartalnik popularno-naukowy „Światło“ poświęcony sprawom społeczno-politycznym, będący podobnie jak „Przedświt“ organem Polskiej Partii Socyal. Na czwarty numer tego pisma złożyły się następujące artykuły. Numer rozpoczyna życiorys Jana Lilburne'a dzielnego bojownika za sprawę ludu pracującego w Anglii. Życiorys ten poprzedza kilka uwag ogólnych o reformacyi, jako o ruchu czysto-politycznym na tle religijnem. o reformacyi republikańsko ludowej i o wielkiej rewolucyi w Anglii 1640. W artykule p. t. „Konstytucya francuska“ znajdujemy jasno, popularnie a wyczerpująco skreślony opis politycznego ustroju Francyi. Widzimy tu następnie artykuł „O powstaniu Kościuszkowskim“ podający w treściwej formie fakty historyczne z tej epoki dziejów naszych, poprzedzone charakterystyką i życiorysem naszego bohatera narodowego. Artykuł „Socyalizm w Austrii“ kreśli rozwój ruchu socyal. w tem państwie oraz przyczyny jego powolnego wzrostu. Autor widzi je w nierównomiernym rozwoju przemysłu w poszczególnych prowincjach, w niskim poziomie oświaty ludowej, a także w różnoplemienności ludów państwo zamieszkujących.

Wreszcie jest artykuł o „Prawodawstwie fabrycznem w Rosyi“ — obecnem i jego historycznym rozwoju, ze szczególnem uwzględnieniem prawa najmu robotników i stosunków wzajemnych między fabrykantami i robotnikami. Artykuł w końcu pisma umieszczony „O sądach przysięgłych i inkwizycyjnych“, podnosi wielkie znaczenie społeczne udziału szerszych warstw w sądownictwie dla swobód politycznych.

W zupełnie wyjątkowych warunkach wychodzi potajemnie w Warszawie, pod czujnem okiem władzy, czasopismo socyalistyczne „Robotnik“. Numer grudniowy pisma poświęcony jest Mickiewiczowi. Kartę tytułową numeru zdobi wizerunek poety, rozpoczyna go zaś odezwa, z powodu odsłonięcia pomnika wieszczą w Warszawie, protestująca przeciwko użyciu przez rząd imienia Mickiewicza za narzędzie komedyi dla uwidocznienia łaski cara. Wszystkie pozostałe szpalty pisma zajmuje sam Mickiewicz; słowa jego dają wyraz uczuciu ożywiającemu obecnie lud polski. Widzimy tedy w artykule p. t. „O sprawie polskiej“ zebrane myśli z artykułów politycznych Mickiewicza, drukowanych w „Pielgrzymie Polskim“. Pogląd poety na sprawę polską streszcza się w słowach następujących: „Cały rachunek opierać należy na siłach własnych. Polska wtenczas silnie powstanie, kiedy będzie przekonana, że bez wszelkiej obejdzie się pomocy i wteuczas tylko znajdzie pomoc...“ Widzimy następnie w numerze ustęp z trzeciej części „Dziadów“ „Redutę Ordoña“, „Do przyjaciół Moskali“, „Do matki Polki“. W końcu myśli poety dotyczące jego poglądów o socyalizmie, o religijności, wolności politycznej i t. d.

Prócz wymienionych tu, wychodzi za granicą jeszcze kilka innych pism polskich, poświęconych sprawie proletaryatu polskiego, — o nich wszakże dla braku miejsca tylko wspomnieć możemy. W Bochum wychodzi czasopismo dla polskich górników i hutników p. t. „Górnik“, w Berlinie „Gazeta robotnicza“; Ameryka zaś wydaje dwa tygodniki polskie treści społeczno-politycznej.